Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK II NR. 23 (47) DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA
WARSZAWA, DNIA 1 MARCA 1934 R. CENA 50 GR.

Problem elity

W noworocznym numerze „Zetu", w artykule: „Polska... nad Europą", pisaliśmy:

„Oby rok 1934 dokonał cudu ocknięcia się i potężnego rozwoju w Polsce, *twórczej, posłanniczej świadomości narodowej.* Oby — tak jak Anglicy mawiali, że były ciemności na ziemi i stał się Izaak Nevton — mówiła o nas przyszła historja, że była noc straszliwa nad światem... i STAŁA SIĘ POLSKA".

— — — — — — —

Gdyby wszystkie obozy i grupy polityczne w Polsce dnia dzisiejszego, zarówno te, które dzierżą w niej władzę, jak i te, które są w opozycji, zrozumiały do głębi powagę chwili, gdyby dostrzegły jasno niepowtarzalność i jedyność konjunktury dziejowej, sprzyjającej w r. 1934 odegraniu przez Polskę jej świetnej, zbawiennej misji, — niewątpliwie ustałyby na ten czas wszelkie małostkowe waśnie i nienawiści, zrodzone z obustronnych win i błędów. Sprawa bowiem, która woła dziś wielkim głosem o taką konfederację sił w narodzie, o twórczy wysiłek pełni genjuszu posłanniczego Polski, jest dostatecznie poważna, by porwać za sobą miljony po polsku czujących i myślących obywateli i aby zorganizować całe społeczeństwo do jednomyślnego, olbrzymiego czynu historycznego.

Jakaż to sprawa? — Aby objąć jej całokształt, przeniknąć do jej rdzenia, ujrzeć rozległość i doniosłość perspektyw, jakie otwiera, nie trzeba sięgać do abstrakcyj historjozoficznych, ani nawet do teoretycznych założeń filozofji polityki; wystarczy bowiem nawiązać do żywej, najkonkretniejszej rzeczywistości polskiej, a mianowicie do pewnych tez i punktów uchwalonego przez Sejm w dn. 26 stycznia projektu nowej konstytucji. Trzeba jednak przystąpić do rozważania tych tez z dobrą wolą, pozostawiając narazie na boku drażniącą politycznie kwestję autorstwa tych tez i sposobu wprowadzania ich w życie. Emocjonalne traktowanie zagadnień, wykraczających daleko poza ramy aktualności politycznej i mających swą wagę dla przyszłych pokoleń, dowodzi tylko niedojrzałości danego społeczeństwa i niezdolności jego do myślenia kategorjami historji; w momentach przełomowych trzeba umieć wznieść się ponad tą krótkowzroczną doraźności perspektyw i rozpatrywać naczelne zagadnienia ustrojowe wyłącznie pod kątem rozumu stanu, bez względu na to, że ten polski rozum stanu reprezentują dziś te czynniki, a za lat dziesięć lub dwadzieścia będą go reprezentować może inne.

Jest rzeczą jasną, że punktem wyjścia projektu nowej konstytucji jest próba rozwiązania współczesnego problemu *wzmocnienia autorytetu władzy.* Problem ten, jednakowo aktualny we wszystkich niemal krajach powojennej Europy, rozwiązywany jest na rozmaite sposoby, wszędzie jednak zbyt jednostronnie i radykalnie, przez eksperymenty sztuczne i niebezpieczne, takie jak niszczenie parlamentaryzmu i wprowadzanie różnych dyktatur: jednostek, partyj, klas społecznych i t. p. W Polsce ujęto rzecz najtrafniej, bo przez proste, nie wykraczające poza istniejące elementy ustroju prawnego Państwa, wzmocnienie władzy Prezydenta. Jednakowoż nie w tem cała doniosłość polskiej reformy ustroju, wzmocnienie władzy Prezydenta jest bowiem tylko przywróceniem władzy politycznej tych atrybutów, jakie z samej swej natury mieć powinna, a których deptanie i zapoznanie w Europie od czasów rewolucji francuskiej było głównym powodem klęsk i wstrząśnień, jakie ta czcigodna część świata w epoce ostatniej przechodziła.

Punkt wyjścia do olbrzymiej pokojowej reformy, uzdrawiającej chore ciało ludzkości, zarazem punkt wyjścia do odegrania przez Polskę decydującej roli w życiu politycznem współczesnej Europy — znajduje się gdzieindziej, a mianowicie w nieznacznej napozór zmianie zasady wyboru do Senatu. Reforma ta, jak wiadomo, stwarza kadry obywateli specjalnie dla Państwa zasłużonych, z których rekrutować się będą: w większej liczbie wyborcy do Senatu, w mniejszej zaś sami członkowie tej Izby. Motywy stworzenia tej kadry uprzywilejowanych *na mocy własnej zasługi*, są następujące:

1) Państwo nowoczesne potrzebuje, dla wypełnienia swych olbrzymich zadań, zorganizowanej grupy obywateli, reprezentujących nie interes prywatny, lub interes partykularny stronnictw czy klas społecznych, lecz przedewszystkiem — i wyłącznie — interes samego Państwa;

2) ponieważ obywatel dzisiejszy, wychowany w atmosferze haseł rewolucji francuskiej, w systemie demokracji parlamentarnej, został przez partje, organizujące wolę polityczną narodu, przyzwyczajony do tego, aby od Państwa wszystko brać a nic mu wzamian nie dawać, — trzeba wprzód, dla celów powyżej oznaczonych (punkt 1.) wychować nowy typ obywatela;

3) sprawdzianem przynależności duchowej (potencjalnej czy aktualnej) do tej „elity" obywateli, jest ich poczucie odpowiedzialności za Państwo (ugruntowanej na honorze osobistym), ich zdolność do bezinteresownego poświęcenia dla dobra ogółu, wreszcie ich dojrzałość polityczna, przejawiająca się w zrozumieniu celów Państwa i jego subtelnej struktury ustrojowej.

Elitaryzm ten atakowany jest przez stronnictwa lewicowe, jako godzący w podstawy demokracji. Najniesłuszniej, wprost przeciwnie bowiem niesie on ratunek samejże demokracji (oczywiście demokracji dobrze pojętej, nowoczesnej, prawdziwej), zagrożonej na całym froncie przez wszystkie współczesne eksperymenty ustrojowe, zaczynając od rozmaitych faszyzmów a kończąc na najstraszliwiej anti-demokratycznym komunizmie.

Wczorajsza fikcja demokratyczna zbankrutowała, ponieważ zbudowana była na kłamstwie o dojrzałości obywateli do władzy. Niszczyciele demokracji to właśnie ci, którzy nauczyli ludy ich praw i wygórowanych żądań, a nie nauczyli ich obowiązków i rozumu politycznego. Zły to przyjaciel, co prowadzi z zawiązanemi oczyma nad przepaść i każe w nią skakać; a tak czynili właśnie z masami ludowemi Europy ci straszni, złowrodzy doradcy. Musiało skończyć się na tem, że oni sami muszą dziś bronić się karabinami maszynowemi przed słusznem oburzeniem narodów, które ujrzały się okłamane, — tak jak to było niedawno w Paryżu.

Ex nihilo nihil fit, ale ludzie ci, w zarozumiałości swej, głupocie i bezczelności, mniemali, że demokrację robi się z niczego. Sama rzeczywistość pogruchotała te śmieszne uroszczenia, i dziś widzimy już, że aby mieć demokrację, trzeba ją wprzód wychować. Prawdziwa, dobrze ugruntowana wolność demokratyczna obywateli istnieć może tylko w społeczeństwie, posiadającem szerokie kadry ludzi *dojrzałych do uczestnictwa we władzy.* Kto będzie umiał stworzyć te kadry i zwolna rozszerzać je na cały naród, ten uratuje demokrację, której zasada jest słuszna i święta, tylko była w praktyce przez długie dziesiątki lat jaknajfatalniej stosowana.

Każde społeczeństwo prawnie zorganizowane, t. j. posiadające własne państwo, rozpada się na dwa zasadnicze elementy ustrojowe: zwierzchnika (i rząd), który reprezentuje przymus władzy, oraz ogół obywateli, reprezentujący element wolnej uległości w stosunku do zwierzchności politycznej. Otóż obydwa te elementy są w wiecznej opozycji względem siebie, dopóki nie powstanie czynnik pośredni, grupa ludzi, umiejących twórczo koordynować i reprezentować zarówno wolność obywatelską, jak autorytet władzy. Pisaliśmy już wielokrotnie, że doskonałość ustroju zależy od stopnia osiągniętej równowagi między dwoma powyższemi elementami, ale równowaga ta będzie zawsze chwilowa i chwiejna, jeżeli nie urzeczywistni jej *realna siła społeczna,* wypełniająca groźną lukę pomiędzy społeczeństwem a rządem. Intuicyjne wyczucie konieczności stworzenia takiego nowego czynnika obywatelskiego, uczestniczącego bezpośrednio w realizacji celów suwerennych Państwa jako takiego, było punktem wyjścia do otwarcia *problemu elity* w Europie dnia dzisiejszego.

Zagadnienie nowoczesnego ustroju państwowego jest obecnie w tem stadjum, że — bez powyższego tertium datur — albo jednostki silne, będące emanacją instynktu samozachowawczego narodów, zdławić muszą fałszywą demokrację i sięgać po dyktatorską władzę, albo narody te czeka anarchja i upadek, podobny temu, jaki przeżyła Polska przedrozbiorowa. Należy jednak zdać sobie sprawę ze zgubności obu tych dróg i z perspektyw, jakie to przed ludzkością otwiera. Wszystko co się dziś dzieje na Wschód i Zachód od Polski, to sztuczne fikcje, prowizorja, które rozwieją się w nicość. Tylko kraj, który rozwiąże w sposób trafny problem elity, ostanie się na tem pobojowisku doktryn, jako realny czynnik twórczy, wyprowadzający ludzkość z matni, w którą zabrnęła. *Krajem tym może być Polska, jeżeli naród i rząd stanie naprawdę na wysokości swego zadania.*

Niewątpliwie problem elity narzuca się dziś wszędzie, jako konieczność polityczna, z taką siłą, że i inne kraje europejskie nie mogły uchylić się od podjęcia jego rozwiązania. Wolno zaryzykować twierdzenie, że wszystkie fascynujące nas eksperymenty ustrojowe: komunizm w Rosji, faszyzm we Włoszech, hitlero-faszyzm w Niemczech, związane są genetycznie z tym właśnie problemem; dostrzeżono go więc gdzieindziej wcześniej nawet niż w Polsce, o ile pominiemy fakt, że Polska usiłowała znaleźć dlań rozwiązanie już w wieku XVI-tym, w czasach elitarystycznej demokracji szlacheckiej, w okresie, gdy innym narodom jeszcze się to nawet nie śniło. Jednakowoż ustroj elitarny w Sowietach, w Niemczech, we Włoszech, ma pewną zasadniczą wadę, której w Polsce powinniśmy strzec się i zawczasu możliwość powtórzenia jej w naszym ustroju wyeliminować. Przyjdzie to nam z łatwością, o ile rozwiniemy i zastosujemy umiejętnie do praktycznej organizacji elity polskiej te założenia ideowe, które tkwią in nuce w projekcie nowej konstytucji (specjalnie w projekcie Legjonu Zasłużonych).

W Rosji sowieckiej udział „elity" w życiu politycznem państwa jest taki, że za każdą komórką i instytucją oficjalnej architektoniki ustroju, ukrywa się — jako punkt oparcia i dyrektywa — odpowiednia komórka i instytucja partyjna. Pewien publicysta polski określił ten ustrój obrazowo, jako dwa drzewa, wrośnięte w siebie i splecione tak, że każda gałązka i każdy listek jednego drzewa ma obok siebie podobną gałązkę i listek drugiego. U szczytu wreszcie, czy raczej u korzenia, widzimy instytucję koordynującą działalność naczelnej rady komisarzy ludowych (rząd oficjalny) i naczelnej rady partji (rząd ideokratyczny), i uzgadniającą swe własne poczynania ze zwierzchnikiem oficjalnym i rzeczywistym państwa, Stalinem. Instytucja ta to słynne Politbiuro.

Mimo wszelkich różnic w ideologji i w szczegółach architektoniki ustrojowej, udział „elity" faszystowskiej we Włoszech, przedstawia się podobnie; Wielka Rada Faszystowska pełni funkcje nie inne, niż sowieckie Politbiuro. Wreszcie organizacja nowych Niemiec ewoluuje w tym samym kierunku i partja narodowo-socjalistyczna, jako formacja państwowotwórcza organizuje się konsekwentnie w „elitę" typu sowiet-faszystowskiego, z tą różnicą, że gdy tam nacisk położony jest na komórkę zespołową (radę), w Niemczech ogniwami takiemi są właściwie jednostki kierownicze rozmaitych stopni w hierarchji partyjnej (system wychowywania przywódców, indywidualności twórczych, w przeciwieństwie do systemu kolektywów).

Otóż błąd podstawowy tych wszystkich systemów polega na tem, że są to pseudo-elity, elity partyjne lub klasowe, powstające nie z doboru najlepszych w narodzie lecz z mechanicznej przynależności do budującego ustrój i rządzącego danem państwem obozu. Stwarzanie takich sztucznych elit demoralizuje samych ich członków, i obciąża je elementem nietwórczym, małowartościowym; odcina ono „elitę" od reszty społeczeństwa, izoluje ją moralnie i spycha ją na równię pochyłą rządów przemocy, terroru, co odrazu podcina u korzeni samą możliwość zrealizowania doskonałego, opartego na równowadze między wolnością obywatelską a przymusem władzy, ustroju; pozostawia też ten system poza obrębem takiej sztucznej elity, mnogość jednostek rzetelnych, twórczych i społecznie wartościowych, które: 1) nie chcą pchać się do przywilejów i korzyści władzy, 2) nie zgadzają się z daną ideologją czy doktryną (a samemu Państwu czy Narodowi i jego celom, z ochotą by służyły), 3) nie dają swego moralnego „placet" na stosowany z konieczności przez sztuczną elitę system ucisku czy nawet terroru.

Prawdziwa elita powstanie więc tylko tam, gdzie organizację jej będzie się umiało oprzeć *na rzeczywistej zasłudze;* gdzie znajdzie się wspólną platformę dla wszystkich elementów twórczych bezinteresownych i moralnie zdyscyplinowanych *bez względu na różnice ich przekonań* (zachowawczych czy postępowych, nacjonalistycznych czy uniwersalistycznych), jeżeli tylko będą to jednostki, które udowodniły swem życiem, że dobro ogółu i cele Państwa Polskiego stawiają wyżej nad interes prywatny, czy partyjny; gdzie jedynem kryterjum przynależności będzie praktykowanie najwyższych cnót obywatelskich, *poświęcenie i rozum twórczy.*

Koncepcja Legjonu Zasłużonych, umiejętnie urzeczywistniona, ma wszelkie dane do wychowania w jej ramach elity obywatelskiej tego typu; niezmiernie ważnem jednakowoż jest wprowadzenie w czyn tego jej postanowienia, które mówi, że kandydatów do Legjonu Zasłużonych *zgłaszać może każdy obywatel.* Uczciwe stosowanie tej zasady uchroni tę piękną instytucję od zarzutów stronniczości i fałszywej gry, zdobywając jej zaufanie całego społeczeństwa, zaufanie, bez którego straciłaby ona swą rację bytu.

Państwo, jako społeczność prawna, jest widomą, praktyczną realizacją w dziejach transcendentnej idei sprawiedliwości, zawartej w samym rdzeniu prawa moralnego. Społeczeństwo doskonałe to zespół obywateli dobrowolnie urzeczywistniających cele końcowe Państwa, czyli reprezentujących *wolne posłuszeństwo prawu moralnemu.* Jeżeli Polska, pierwsza w Europie, w epoce powszechnego zamętu i rozstroju, stworzy kadry takiego społeczeństwa doskonałego, jeżeli zdoła zorganizować do wielkiego wysiłku twórczego element najlepszy w narodzie, da ona całemu światu idealny wzór prawdziwego ustroju elitarystycznego, opartego na rozumnym i moralnym szlachectwie życia, *szlachectwie zasługi*, dostępnem każdemu obywatelowi zdolnemu do twórczej samorzutności rozumu. Noc europejska, rozdzierana krwawemi kometami rewolucyj i meteorami dyktatur, rozświetli się wtedy słońcem wielkiej, zbawiennej idei. I STANIE SIĘ POLSKA...

Włodzimierz Zuławski

W dn. 22 lutego zmarł w Krakowie ś. p. Włodzimierz Żuławski, brat stryjeczny poety ś. p. Jerzego. Miłośnik poezji i sztuki plastycznej, natura głęboko artystyczna, ś. p. Włodzimierz Żuławski poświęcił kilkadziesiąt lat swego życia studjom nad Wyspiańskim i zbieraniu drogocennej po nim spuścizny. Pisaliśmy już w „Zecie", że cały majątek tego miłującego Piękno człowieka został zużyty przezeń na zgromadzenie wspaniałego zbioru pamiątek po Wyspiańskim; zwracaliśmy też uwagę opinji publicznej na niebezpieczeństwo, grożące temu zbiorowi wobec niezmiernie trudnych warunków, w jakich znalazł się ś. p. Żuławski w ostatnich czasach. Obecnie spuścizna ta po największym Poecie narodu pozostaje na opiece wdowy po Zmarłym. ś. p. Żuławski przygotował ostatnio zbiorowe wydanie listów Wyspiańskiego i zapowiadał ukazanie się I-go tomu już w niedługim czasie. Niestety praca jego życia nie została ukończona. Zmarł w wieku lat 66.

Piękno a prawda

Gdy zabrałem głos (w NN. 17, 18 „Zetu") w sprawie artykułu p. Karola Homolacsa, nie uczyniłem tego bynajmniej w celu polemicznym; przeciwnie, chodziło mi o wykazanie, że sprzeczność między poglądami formistów a „ideowców" (w ten niezbyt zresztą zręczny i ścisły sposób określam dla skrótu tych teoretyków sztuki, którzy jej istotę upatrują w idei myślowej) nie jest bynajmniej tak zasadniczą, jakby się zdawało. To też artykuł mój był próbą uzgodnienia tych obu poglądów, uzgodnienia, mającego za cel ewentualną syntezę. Wystąpienie to odniosło ten dobry skutek, że otrzymałem odpowiedź p. Homolacsa w postaci artykułu („O prawdzie piękna" Nr. 20 „Zetu"), całkowicie poświęconego zagadnieniu piękna i sztuki, co mi bardzo ułatwia dyskusję. Podkreślam: dyskusję, a nie polemikę, gdyż chodzi mi jedynie o możliwie jak największe uściślenie i sprecyzowanie naszych pojęć estetycznych, nie zaś o narzucenie za wszelką cenę moich poglądów. Oczywiście, taka postawa nie znaczy, że godzę się na przyjęcie bez dyskusji wszystkich tez p. Homolacsa. I aby ułatwić dyskusję i uniknąć „rozmijania się", które jest tak częste przy polemikach, wezmę za punkt wyjścia te tezy p. Homolacsa, które w zasadzie podzielam.

A więc przedewszystkiem, najzupełniej się zgadzam, jak to niejednokrotnie już podkreślałem, z ujęciem formy przez p. Homolacsa, nprz. w ostatnim artykule: „Wszelką formę materjalną, zbudowaną przez człowieka, można rozpatrywać jako pewną rzeczywistość, która jest rezultatem syntezy dwóch czynników, biegunowo ze sobą sprzężonych. Jednym z tych czynników jest treść zmysłowa, drugim zaś, treść niezmysłowa. Ta treść niezmysłowa zaczerpnięta jest z owego oceanu elementu psychicznego, który się nie daje zgłębić myślą mózgową, ponieważ myśl mózgowa stanowi tylko jego powierzchnię. Stwierdzić możemy jednak, że treść niezmysłowa jest właśnie czynnikiem aktywnym, który organizuje bierną substancję materjalną. Przez to samo jest ona czynnikiem jednoczącym, czyli czynnikiem stwarzającym jedność z pewnej wielości — a mianowicie z wielości, która charakteryzuje świat materjalny".

Otóż wobec tego, że piękno jest tworem tego „oceanu psychicznego", niedostępnego dla naszej inteligencji, jest „intuitywnem, bezpośredniem wyczuciem jakiejś mądrości — jakiejś prawdy — bez względu na to, czy tę prawdę, tę mądrość chwytamy naszym intelektem, czy też nie", — otóż ze względu na to wszystko uważa p. Homolacs, że żadna zupełna teorja sztuki nie jest wogóle możliwa. Ja również sądzę, że zjawisko piękna jest zasadniczo niepoznawalne na drodze myślowej, jest przedewszystkiem „niewytłomaczalne". Można wprawdzie, nauczyć kogoś „rozumieć" daną sztukę, ale nauczenie to polega na pokazaniu komuś tego, co w danem dziele jest, nprz. dla mnie piękne, i, jeśli ten ktoś ma podobną psychikę, może (ale nie musi) zauważyć to piękno, które mógł przeoczyć. W żadnym jednak razie nie mogę mu wytłumaczyć *dlaczego* to jest piękne, ani tembardziej go o tem przekonać.

Czyż jednak to stwierdzenie wyklucza możliwość teorji sztuki? Czyż ono samo w sobie nie jest już taką teorją? Właśnie stwierdzenie tych faktów, o jakich mnie poucza introspekcja, daje mi punkt wyjścia do determinacji przeżyć estetycznych. Dla mnie fakt niedostępności piękna dla intelektu jest już dowodem irrocjonalności i subjektywności (gdyż tylko pojęciowe porozumienie się pozwala na objektywność) sztuki.

Nie rozumiem, dlaczego p. Homolacs, stwierdzając, że piękno jest niedostępne „myśli mózgowej", nie chce się zgodzić na to, że jest ono irracjonalne. Co to jest wogóle myśl „niemózgowa"? Można mówić o świadomości nieintelektualnej, ale nie o *myśli* nieintelektualnej. Właśnie przeżycie estetyczne jest takim stanem świadomym (bynajmniej nie podświadomym), ale nie myślowym. I to wcale nie znaczy, że ten stan musi być emocjonalny.

Pan Homolacs słusznie stwierdza, że elementy wrażeniowo-emocjonalne same w sobie są jednostkowe, nie organizują jedności; natomiast „myśli i idee" właśnie taką jedność wytwarzają. Wobec tego idea estetyczna nie może być natury emocjonalnej, ale musi być, jakościowo przynajmniej, pokrewna czynnikowi myślowemu. Otóż, według mnie, rozumowanie to wykazuje jedynie, że piękna formalnego nie można sprowadzić do przeżyć czysto emocjonalnych; o ile jednak chodzi o zbliżenie jego do idei pojęciowej, staje nam na przeszkodzie irracjonalny charakter tego piękna. Jedynym logicznym wnioskiem wydaje mi się w danym wypadku stwierdzenie, że przeżycie estetyczne różni się zarówno od przeżyć emocjonalnych (wobec jego roli organizującej jedność), jak i od myślowych (brak uchwytnej logicznej, „wytłumaczalnej" prawidłowości); a więc jest trzecią zasadą psychiczną. Stwierdzenie to bynajmniej nie wydaje mi się „tymczasowem załatwieniem sprawy" i „zahamowaniem myśli poznawczej", podczas gdy „nawiązanie tego (przeżycia estetycznego) do zasady znanej (w tym wypadku myślowej), a niewątpliwie pokrewnej", jak proponuje p. Homolacs, kryje w sobie niebezpieczeństwo naciągania faktów.

Skoro forma się składa z dwóch biegunów, dlaczego mamy koniecznie nawiązywać do jednego bieguna i szukać w pięknie „prawdy", a nie, np. „dobra" (biegun emocjonalny), lub „przyjemności zmysłowej" (elementy wrażeniowe)? Pominę jednak ten mniej zasadniczy zarzut i zwrócę się do rozważenia argumentów, jakie się podaje na dowód charakteru myślowego idei estetycznej.

W Nr. 21 „Zetu" znajduje się znamienny pod tym względem artykuł p. Brauna: „Jak czytać poetę?", w którym autor rozważa zagadnienie, czy przy czytaniu dzieł Norwida musimy starać się odcyfrować jego ideologję metafizyczną, czy, przeciwnie, taka tendencja nie ma nic wspólnego z recepcją artystyczną.

Otóż, nie myślę zaprzeczać, że „wieszczowie": Norwid i Wyspiański chcieli w swych dziełach wyrazić idee metafizyczne; mogę się również zgodzić na to, że traktowanie „Wyzwolenia" czy „Akropolis", jedynie jako Czystej Formy jest świadomem zamykaniem oczu na skarby duchowe, zawarte w tych dziełach, skarby, być może, cenniejsze niż piękno formalne tych dramatów (wartościowanie to jest oczywiście indywidualne: jeden więcej ceni piękno, drugi — metafizykę). W każdym jednak razie te skarby metafizyczne nie decydują o pięknie utworów, które leży poza ich ideologją, jest od niej niezależne, przynajmniej faktycznie, jeśli nie genetycznie. O ile rozumiem, p. Braun temu nie zaprzecza, stawia tylko pytanie, czy dla odczucia *piękna* tych dzieł koniecznem jest rozumienie ich ideologji, i na pytanie to odpowiada twierdząco, opierając się na argumentach następujących: a) jedynie zrozumienie tej ideologji pozwala w zupełności zrekonstruować ten stan napięcia twórczego, jaki przeżywał w momencie kreacji sam poeta (taka zaś doskonała reprodukcja faktu twórczości jest ideałem apercypowania dzieła sztuki), oraz b) zrozumienie tej idei jest konieczne nawet dla odczucia formalnego piękna utworu, gdyż właśnie taka idea jest głównym czynnikiem, wytwarzającym jedność w wielości.

Zajmę się najpierw tym drugim argumentem, gdyż dotyczy on zagadnienia znacznie trudniejszego. Problemat ten istnieje jednak tylko w odniesieniu do poezji, gdyż tylko w tej dziedzinie *materjałem* piękna formalnego obok elementów zmysłowych (dźwiękowo-obrazowych) i emocjonalnych mogą być elementy pojęciowe. Wobec tego przy słuchaniu poezji nie powinniśmy eliminować z naszej uwagi znaczenia wyrazów i zdań, gdyż tworzą one jedne z najsubtelniejszych czynników *estetycznych*.

Pan Braun sądzi, że właśnie dla odczucia „jedności w wielości" tych elementów, dla prawdziwego ich zespolenia w organiczną jedność, trzeba poznać samą ideę ożywiającą dane dzieło, i tylko to pozwala na pełnię recepcji artystycznej. Istotnie, idea metafizyczna, albo wogóle myślowa, danego utworu poetyckiego jest niewątpliwie czynnikiem zespalającym organicznie poszczególne elementy pojęciowe, ale czem się wówczas jej rola będzie różnić od roli idei metafizycznej, utrzymującej jednolitość traktatu filozoficznego? Co decyduje o tem, że w jednem szukamy Prawdy, a w drugiem przeżywamy Piękno? Różnica może tylko zależeć od sposobu w jaki tę jedność odczuwamy. Przecież Czysta Forma — to nie jest poprostu jedność w wielości, to jest jedność w wielości, pojmowana *bezpośrednio*. Wobec tego zestawienie elementów pojęciowych w dziele sztuki działa nie dzięki prawdzie, jaką ono może wyrażać, ale dzięki samemu połączeniu tych pojęć, grających rolę odrębnych składników formalnych, przyczem wartość logiczna i metafizyczna tych sądów ma dla fenomenu piękna znaczenie nie ważniejsze, niż naprz. większa, lub mniejsza „ładność" barw w obrazie lub współbrzmień dźwiękowych. Na to mi można powiedzieć, że, przecież, sprowadzenie przeżycia estetycznego do „bezpośredniej kontemplacji jedności w wielości" jest dowolną tezą. Wracamy wtedy do początku mego artykułu. W istocie, ponieważ o przeżyciach estetycznych decyduje tylko nasza introspekcja, nie można znaleźć bezpośredniego dowodu prawdziwości tej lub innej teorji. I to nawet jeśli wychodzimy z założeń absolutnie racjonalistycznych. Jeśli układamy na podstawie czysto apriorycznej genetykę i klasyfikację władz psychicznych, jak to znajdujemy nprz. u Wrońskiego, to poto, by umieścić w tym systemacie przeżycia estetyczne (to znaczy zidentyfikować pewien element systematu z władzą odczuwania piękna) musimy wiedzieć, jakie są nasze przeżycia estetyczne. Nie możemy się więc obejść bez introspekcji, wobec zaś złożoności i różnorodności przeżyć, towarzyszących naszej reakcji na piękno, trudno jest w nich wykryć to, co jest specyficznie estetyczne. Wskazać nam na to może zestawienie i porównanie naszej recepcji wszystkich odłamów sztuki: to, co tym przeżyciom będzie wspólne, to właśnie będzie istotą przeżycia estetycznego.

Gdybyśmy bowiem przyjęli, że celem sztuki jest wyrażenie pewnej idei myślowej (gdyż tylko taka może być ideą metafizyczną), wówczas jedyną sztuką pozostałaby literatura piękna (i jeszcze może, z pewnem naciąganiem, malarstwo symbolistyczne). Zgódźmy się nawet i na taki wniosek. Przez to samo jednak nie zdołamy zaprzeczyć, że istnieją: muzyka, architektura, ornamentacyjne i nierealistyczne malarstwo i t. d. A przecież żadne wysiłki nie pozwolą wykazać w tych dyscyplinach (bez ich wynaturzenia) jakiejś idei metafizycznej. Faktem prostym i niezaprzeczalnym jest, że ani słuchając muzyki, ani oglądając nprz. ornament niczego się *nie dowiaduję* i nie mam *potrzeby dowiadywania się*. Bardzo możliwem jest, że twórcę tych dzieł ożywiała idea metafizyczna, ale dzieła te nic nam o tej idei (myślowej) powiedzieć nie mogą, coby świadczyło, że w tych dyscyplinach ideał apercepcji artystycznej (jeśli p. Braun ma rację, że ideał ten polega na doskonałej reprodukcji stanu twórczego artysty [vide punkt a)]) jest wogóle niemożliwy, chyba żebyśmy przytem, albo przedtem studjowali biografję lub pamiętniki twórcy. Ale wtedy prościej jest poprzestać na biografji, gdyż dzieła nam nic nie dorzucą nowego, żadnej informacji o ideologji metafizycznej artysty. Powtarzam, możemy nie uważać przeżyć dostarczanych nam przez muzykę, architekturę i t. d., za przeżycia estetyczne; będzie to jednak tylko werbalne załatwienie sprawy, które doprowadzi nas do rozbicia systematu (odłączenie poezji od reszty sztuk), ale nie uwolni od konieczności stwierdzenia, że istnieje grupa dyscyplin, wywołująca w nas przeżycia, polegające na kontemplacji bezpośredniej i pozamyślowej jedności w wielości. I do tej grupy będziemy musieli również zaliczyć poezję, nie wyrażającą żadnej idei metafizycznej (a przecież taka poezja znajdzie się i u Norwida i u Wyspiańskiego).

Jeśli więc chcemy uniknąć rozbicia systematu, nie możemy przyjąć „ideologicznej" teorji sztuki, gdyż nie stosuje się ona do większości sztuk. Teorja zaś Czystej Formy objaśnia je wszystkie włącznie z poezją metafizyczną. I nie znaczy to bynajmniej, by ta teorja „spłycała" twórczość Norwidów i Wyspiańskich lub ignorowała wartość metafizyczną ich dzieł. Tyle tylko, że nie sprowadza ich piękna do idej metafizycznych, chociażby były one genjalne i „nad-myślowe". (A propos — co to jest „nad-myśl" w racjonalistycznym poglądzie p. Brauna? Czy hyperlogizm?). Taką sztukę nazywam heteronomiczną, gdyż piękno nie jest jej własnym celem. Nie oznacza to bynajmniej, by przez to miała być mniej wartościowa, niż sztuka autonomiczna.

W sprawie zagadnienia, dlaczego ci twórcy wybierają poezję, jako sposób wyrażenia swego poglądu filozoficznego, wypowiadałem się już parę razy. Uważam, że tu się sprawa ma odwrotnie do tego, jak ją przedstawia p. Braun: nie idea myślowa jest czynnikiem spajającym w jedność dzieło sztuki, ale właśnie zdolność *estetyczna bezpośredniego całkowania* w jedność elementów składowych, w danym wypadku pojęciowych, daje możność wytworzenia odrazu, bez rozumowania i argumentacji, syntezy ideowej: przytem, im większa jest konieczność *estetyczna* danej syntezy, tem większe jest wrażenie konieczności danej idei. Wobec tego, że konieczność estetyczna nie uznaje dyskusji, idee wyrażone przez poezję mają bez porównania większą moc sugestywną: ma to znaczenie zwłaszcza, jeśli chodzi o idee, przyjęcie których na drodze dyskursywnej wymaga zbyt wielkiego wysiłku lub transcendencji.

Po tej dygresji, wywołanej artykułem p. Brauna, wracam do pierwszego zagadnienia. P. Homolacs nie mówi w swoim artykule nic o poezji ideologicznej. Twierdzenie swoje o charakterze myślowym idei estetycznej opiera on na argumentach następujących: 1) w formach artystycznych zawsze występuje logika konstrukcyjna, prawidłowość i celowość wewnętrzna, dająca się nawet ująć w związki matematyczne, 2) jeśli zaś nie możemy uchwycić tej prawidłowości naszym intelektem, to nie świadczy to bynajmniej, że ona nie istnieje. Są ludzie inteligentni, którzy nie mogą objąć myślą np. wyższej matematyki. Piękno właśnie może być intuitywnem wyczuciem mądrości, przerastającej nasz intelekt.

Argument pierwszy porusza zagadnienie, które mnie osobiście zawsze sprawiało trudności. Niewątpliwie prawidłowość form ornamentacyjnych daje się ująć w związki matematyczne. Ta prawidłowość według mnie pokrywa się częściowo z tem, co p. Homolacs nazywa biegunem niezmysłowym formy. Wobec tego, że ten „biegun niezmysłowy" daje się wyrazić matematycznie, nie sądzę by był niedostępny dla „myśli mózgowej" jak pisze p. Homolacs. I jest on niewątpliwie czynnikiem jednoczącym formę. Pod tym względem szczególnie ciekawa jest analiza takiej prawidłowości w dziedzinie muzyki. Poświęciłem parę artykułów w „Zecie" rozbiorowi teoryj, analizujących tak enigmatyczne pozornie kompleksy muzyczne, jak harmonja, tonacja i t. d.[1]). Badania te pozwalają stwierdzić, że prawidłowość, jaką odczuwamy w harmonji muzycznej, opiera się na zasadach ściśle racjonalnych i nietylko wyrażających się we wzorach matematycznych, ale podlegających podstawowym prawom psychofizycznym, wykazującym naprawdę zdumiewającą celowość. Fakt, że harmonja nasza i gama wykształciły się niejako empirycznie, a mimo to przyjęły postać taką, jakgdyby były ustalane z pełnią znajomości teoretycznych które od niedawna tylko posiadamy i, w których dotąd bynajmniej nie wszystko jest jeszcze jasne, — fakt ten zdawałoby się najlepiej potwierdza zdanie p. Homolacsa, że Piękno, to jest intuicyjne wyczucie niezgłębionej mądrości; ale fakt ten nie odnosi się wogóle do piękna. O to właśnie chodzi, że sama prawidłowość wewnętrzna nie jest wystarczającą, gdyż wobec tego najpiękniejszym ornamentem byłoby kółko, a w muzyce największą rozkosz powinnibyśmy byli odczuwać przy regularnem uderzaniu oktawy, albo grając gamę. Przecież każde zestawienie linij jest już figurą, większość zestawień dźwiękowych daje motyw — mamy więc jedność w wielości, odczuwamy ją bezpośrednio, — a jednak to jeszcze nie wystarcza do tego, by było piękne. Dla tego potrzeba jakiegoś specjalnego zestawienia form, jakiejś specjalnej prawidłowości i celowości, innej w każdem dziele sztuki i już przez to samo nie dającej się sprowadzić do poruszanej przed chwilą racjonalnej prawidłowości. I ta konieczność *estetyczna* częstokroć gwałci tę racjonalną prawidłowość formy, rozbija ją i mimo to, albo dzięki temu daje nam przeżycie artystyczne. Fakt ten, którego nie można zignorować, skłonił mnie do wyłączenia z właściwej estetyki muzyki powyższych zagadnień, które tworzą pododdział ogólnej estetyki, mniej więcej: „problemat psychofizycznych podstaw formy". (Formy, a nie Piękna). Rozróżnienie to w dziedzinie muzyki nie wydawało się bardzo oczywistem — przeciwnie większość teoryj estetyki muzycznej właśnie na tych faktach się opierała[2]). Rozróżnienie takie jednak jest konieczne, jeśli się chce uniknąć pomieszania pojęć; zresztą w dziedzinie plastyki wogóle ten problemat nie występuje. Tam nikt nie myśli utożsamiać piękna z podstawami psychofizycznemi geometrji[3]). Prawidłowości i współzależności form geometrycznych opierają się tak samo, jak harmonja i tonacja, na prawach psychofizycznych kontrastu, ekonomji wysiłku i t. d., ale sama przez się ta prawidłowość nie daje piękna i nie tłomaczy go. Formy te są tylko materjałem dla konstrukcji estetycznej i konstrukcja ta kształtuje je i kombinuje za każdym razem inaczej, za każdym razem z inną celowością, niezależną od prawidłowości psychofizycznej tych form i nie dającą się racjonalnie uzasadnić.

Otóż na to mi powie p. Homolacs, że ta prawidłowość estetyczna jest jakąś celowością tak transcendentalną, że obecna nasza świadomość nie może jej zanalizować. Ale przykład inteligentnego człowieka, nie rozumiejącego wyższej matematyki (patrz argument 2 p. Homolacsa) wskazuje, że sprawa nie jest zupełnie analogiczna.

Człowiek, nie rozumiejący wyższej matematyki, wie jednak, że są ludzie, którzy nietylko ją rozumieją, ale mogą wzajemnie się porozumieć i otrzymać jednoznaczne i objektywne rezultaty, nie dające się wogóle zaprzeczyć. Więc chociażby tego nie rozumiał, może ufać tym ludziom, że podają mu rzetelnie pewne prawdy. Nic podobnego nie istnieje w pięknie[4]).

Nietylko niema ludzi, którzyby mieli pretensję, że mogą w jakiś objektywny i ściśle rozumowy sposób wyjaśnić na czem polega piękno każdego dzieła sztuki, ale wogóle nie widać środków, przy pomocy których byśmy tego mogli dokonać. Jeżeli nawet powiemy, że nasz rozum jeszcze nie dorósł do tego, ale z czasem dojdzie, musimy przyznać, że, jak dotychczas, jest piękno zupełnie irracjonalne i, że nasze odczucie piękna nie jest *dowiadywaniem się*, poznawaniem jakiejś *prawdy*, chyba że za tę prawdę uważamy istnienie jedności w wielości. Ale nie zmieni to faktu, że my tę jedność nie poznajemy, ale przeżywamy. Przecież różnica tkwi nie w objekcie naszych doznań, ale w nas samych. Ani Prawda, ani Piękno nie istnieją poza naszą lub czyjąś wogóle świodomością. Ta sama rzeczywistość w zależności od tego czy ją ujmujemy w aspekcie pojęciowo-rozumowym, czy w aspekcie estetycznym, może być i Prawdą i Pięknem. Z tego nie wynika, że Piękno i Prawda to, to samo, albo, że jedno zawiera drugie. Dlatego natura, gdy staramy się ją poznać i zrozumieć jej prawa, przedstawia się nam jako „mądrość doskonale logiczna", gdy zaś oglądamy, przeżywamy, ja *nie rozumując*, bezpośrednio, objawia się nam jako „najwyższy wzór piękna". Gdybyśmy kiedyś „dorośli" do tego, żeby rozumowo, z całkowitą dokładnością, móc przeniknąć i wytłomaczyć, na czem polega piękno każdego poszczególnego dzieła sztuki, to to, cobyśmy poznali byłoby pewną prawdą, ale przestałoby być pięknem.

Konstanty Régamey.

---

1) Zapowiadałem nieraz w „Zecie" dalsze artykuły z tej dziedziny, ale narazie myślę z tego zrezygnować, gdyż badania te mają zbyt specjalny matematyczno- muzykologiczny charakter i, jako interesujące tylko specjalistów, nie bardzo będą na swojem miejscu w piśmie ogólno-filozoficznem i literackiem.

2) Por. moją broszurę „Treść i Forma w muzyce" str. 37 — 40, pozatem strony 30, 31 i 35. Cytuję siebie nie dlatego, że mam manję wielkości, ale dla uniknięcia powtarzań.

3) Nie można oczywiście traktować poważnie takich recept estetycznych, jak nprz. proponowany przez Strzemińskiego „współczynnik dynamizmu" w rzeźbie.

4) Ale nie w estetyce. Powtarzam, — to, że piękno samo przez się jest irracjonalne, nie znaczy, że nie może istnieć filozofja piękna i że nie można go analizować na drodze rozumowej. Uczucia i afekty też mogą określać i klasyfikować na drodze rozumowej, mimo, że same w sobie są one irracjonalne.

Wrońskizm a tomizm

Odpowiedź na zarzuty p. Stępniewskiego.

Od Redakcji. W odpowiedzi na niektóre zarzuty p. J. J. Stępniewskiego, zawarte w artykule pt. „Relatywizacja Absolutu" (Zet, nr. 21), p. Francis Warrain, znakomity filozof francuski, nadsyła nam poniższy artykuł, który podajemy w przekładzie.

Jeżeli uwydatniłem punkty styczne pomiędzy doktryną Wrońskiego a scholastyką, lub raczej tomizmem, to jednak nie twierdziłem, że są to rzeczy tożsame.

Prąd myśli, skłaniający się ku realizmowi, a uwieńczony tomizmem, został, dzięki Kartezjuszowi, zastąpiony prądem odwrotnym, zdążającym ku idealizmowi, potem ku krytycyzmowi, który uświadomił sobie antynomję, ale jej nie rozwiązał. Wrońskizm, mojem zdaniem, wprowadza nas do tego rozwiązania. Zmierza on do zamknięcia koła, a przez to samo, jakby podaje rękę tomizmowi. Uważam za wielki postęp syntezę tych momentów myśli, założonych pierwotnie przez ich rozbieżność.

1-o. Niewątpliwie, filozofja scholastyczna ma u podstaw pewien dualizm, i łatwo jest dostrzec, że rozmaite pary: forma-materja, podmiot-przedmiot itd. znajdują swój zgęszczony wyraz w biegunach „byt" i „wiedza" Wrońskiego. — Ale i scholastyka również przypuszcza termin neutralizujący: a) z punktu widzenia ontologicznego — w pojęciu *aktu* (entelechji), mającego pogodzić przeciwstawność esencji i istnienia, lub raczej *an est* i *quid est:* b) z punktu widzenia kosmologicznego — w swej koncepcji ruchu (lato sensu): c) z punktu widzenia psychologicznego — w *czynności przechodniej* (actio transitiva). — Wreszcie zaś, stosunek aktu do możności odpowiada podwójnej roli elementu podstawowo-neutralnego.

Realizm tomistyczny nie zakłada rzeczywistości w *ens* (elemencie - bycie) w przeciwstawieniu do wiedzy (logos), ale w *esse*, mającem podwójne znaczenie *istnienia* i *co jakości* (quidditas) i przez to spokrewnionem z elementem podstawowo-neutralnym.

Wykład Wrońskiego jest wspaniałem doprowadzeniem tych pojęć do jasności dydaktycznej: potwierdza je i jednoczy.

2-o. Tomizm powiada wraz z Arystotelesem, że intellekt uchwytuje byt; wiedzę zaś, to prawda, rozważa on głównie w funkcji *poznawania* tego co jest dane, słowem — w świecie „chrematycznym" Wrońskiego. Ale wprowadza on *samorzutność* wiedzy, nawet w poznaniu, gdyż zakłada termin końcowy poznania nie w i d e i, ani w p o j ę c i u, wypracowanem przez rozsądek zapomocą abstrakcyj i kompozycyj, lecz w *koncepcji* pewnego *Słowa wewnętrznego*, która to koncepcja wyłania coś nowego: dzieło samorzutności intellektu w jego najwyższej funkcji. Zbliża się przez to do tego, co Wroński nazywa rozumem absolutnym w przeciwieństwie do rozumu dyskursywnego, do *ratio* scholastyków.

Tomizm uchwycił również tę samorzutność w twórczości artysty, gdzie jest ona jawniejszą aniżeli w poznaniu. Co Wrońskiemu pozwoliło daleko lepiej uwypuklić tę samorzutność, to znaczny rozwój matematyki, w której zdolność konstruktywna umysłu jawi się niezależnie od materji fizycznej.

Wroński niewiele mówił o funkcji poznawczej, już przed nim dostatecznie zbadanej, główny zaś kładł nacisk na funkcję twórczą; lecz uznaje on przedmiotowość elementu-wiedzy w rzeczach (ob. Propedeutykę) w sposób mniej więcej równoznaczny z realizmem scholastyków.

3-o. Co się tyczy idei Boga, niesłuszne jest twierdzenie, że tomizm rozważa ją wyłącznie in concreto. U podstaw bowiem teologji tomistycznej znajduje się, jako idea Boga, Byt (esse), którego essencja i egzystencja są tożsame. Terminologja inna, w treści jednak jest to ta sama identyczność bytu i wiedzy, w której Wroński widzi c e c h ę Absolutu. Co się tyczy wyrazu: NIEWYSŁOWNY, przez który Wroński wskazuje istotę wnętrzną Boga, doskonale odpowiada to doktrynie tomistycznej, podkreślającej znaczenie czysto analogijne, jakie winniśmy przypisywać wszystkiemu, co ujmujemy w naszych pojęciach o Bogu.

4-o. Jedyny punkt, któryby pozwolił — jeśli nie przeciwstawić wrońskizm a tomizm, to przynajmniej oddalić jeden od drugiego, jest to autonomiczna rola Rozumu w osiąganiu nieśmiertelności. Lecz i tu, ani Wroński nie pojmował tego osiągnięcia bez pomocy boskiej, ani św. Tomasz nie pojmował jej bez współpracy ludzkiej*).

5-o. Wreszcie, co się tyczy mego tekstu, który przytacza p. Stępniewski, mianowicie: „L'essence intime de l'absolu au sens où il l'entend, consiste simplement dans la conception de l'Absolu comme essentiellement un", — nie należy tego rozumieć jako d e f i n i c j i, gdyż wcale nie zamierzałem wyczerpać tem przedmiotu. Jest to poprostu wskazanie, że zorjentować się ku tej istocie wnętrznej możemy jedynie przez ewokację tego co proste, niezłożone, jedno, a więc hiperlogiczne. Jest to zgodne ze wszystkiemi ezoterycznemi doktrynami o Niewysłownem i, zdaje mi się, z doktryną Wrońskiego również.

Oto, co mogę odpowiedzieć na krytykę p. Stępniewskiego. — Powtarzam raz jeszcze: nigdy nie miałem zamiaru upatrywać tożsamości pomiędzy tomizmem a wrońskizmem; widziałem w nich tylko zbieżność, rzucającą nowe światło, i postęp ku rozwiązaniu antynomij metafizycznych. Ja tedy kładłem nacisk na podobieństwa: p. Stępniewski podkreślił różnice.

Francis Warrain.

---

*) *Post scriptum.* Nie mogę się tu szczegółowo zająć tem tak trudnem i tak głębokiem zagadnieniem. Zaznaczam tylko w Summie Teologicznej Św. Tomasza: Prima secundae, questio CXIV, art. III: owo *conclusio* oraz *respondeo*, które wydają mi się nietylko zgadzać z doktryną Wrońskiego w tym względzie, ale także ją wyjaśniać, należycie ją tłumaczyć, zwłaszcza jeśli sobie przypomnimy to, co Wroński powiada o zstąpieniu Ducha Świętego. Tylko że Wroński wyraża się w terminach *rozumu*, św. Tomasz zaś w terminach *życia*. Aliści ROZUM ABSOLUTNY a ŻYCIE HIPERFIZYCZNE — to jedno i to samo w *wirtualności twórczej* Słowa.

Varia

Poemat Rilkego. „Miłość i śmierć korneta Krzysztofa Rilke", osiągnął zawrotną cyfrę pół miljona egzemplarzy nakładu (!) Ostatni nakład (z r. 1933) wynosił 30.000 egzemplarzy.

Verdun, ujrzane oczyma walczących — oto temat książki, opracowanej przez J. Péricarda i wydanej (Libr. de France — Paryż) p. t. „Verdun 1914 — 1918 d'après les témoignages de 6.000 combattants". Książkę zdobi 957 reprodukcyj i 40 map.

Sylwetki literackie Valery'ego, Stendhala, Balzaca, Prousta, Tołstoja, Goethego, Montaigne'a, Woltera, Chateaubrianda i innych zawiera tom, ogłoszony u Hartmana w Paryżu, noszący „Propos de Littérature", a opracowany przez Alaina.

Jerzy Braun

Wrońskiemu epitaphium pogrobne

Na odsłonięcie pomnika Hoene-Wrońskiego na cmentarzu Neuilly w Paryżu.

* * *

Napływasz — — — falo — — — wszechtworząca — — —
Oto nurt ciemniejący grzmi. Cienie pędzą.
Jak rozbijanych dzbanów jęk, nawoływanie czyjeś słyszę.
Czy to anioły łowią mnie zgubionego w pomroczy?
Pętla. Cios w serce. Muzyczne łkania.
Płynę w wir gwiazd, szalupa pieśni.
Dmie w żagiel patetyczna zawieja.
Chór. Wrzawa tonów. Gongi. Fanfar mnóstwo.
Fala nabrzmiewa, dźwiga mnie, rośnie.
Teraz już nawskróś przezemnie — lawina.
Zmieszane głosy gromad, piorunów pękania,
pochodnie niesione w rękach, ognia grzywy.
I moc, ta moc fatalna, co zabija i wskrzesza.
I głos: Wstań! I głos: Zbudź się! Głos: Czynu, pieśni, Słowa!

Idę, idę!!!

* * *

Każdy mnie krok ku tobie przybliża.
Majaczeje przez mgły kształt ogromny.
Ręce moje jak ramiona krzyża
jak skrzydła mnie ku tobie niosą.
Naprzód muszę twarz, twarz przypomnieć.
Wzrok ku niebiosom — — —

Dal zamglona w wypukłość nabrzmiewa
i z mgieł lepi gigantyczną bryłę.
Już ją gromów rzęsistych ulewa
zaciosami rzeźbi pochyłemi.
Widzę: bloki pochyłe.
Biała postać na cokole ziemi.

On. Głowa w kopułę sklepiona. Tors Tytana.
Czoło jak fasada świątyni.
Z pod arkadowych brwi jaśń otchłanna.
Oczu dwoje patrzących z za świata:
Świecie, świecie, cóżem ci uczynił?
Sternik twój — — — szatan!

Drgnęły wargi z marmuru, coś szepcą.
głowę smutek rzeźbiarsko pochylił.
nogi już glinę depcą,
już się w glob wrył człowiek spiżowy.
już się kroki splątały zawile
z tajemniczą myślą tej głowy.

Rusza z miejsca statyczna struktura.
Wieczne prawo już w bruki miast wrosło
żywym do nas przemówiło gestem.
Puls i tchnienie. Piennej krwi purpura.
Zapachniało kwiatami i wiosną.
Oto jestem. Ja — — — który jestem.

* * *

Poruczniku, czemu przy pochodni
gdy śpią wszyscy twoi bombardjerzy,
ty usiadłszy na lawecie działa
z dzieł Platona ambrozję spijasz?
Czemu z jutrznią budzisz się co dnia.
aby liczbą głąb niebios pomierzyć
i swych myśli szturmową nawałą
do wrót Sfinksa młotem się dobijać?

Albo celnie w pruskie szańce grzmocąc,
gdy dym smolny chmurami opada,
czemu wzory kreślisz i poco
z Kartezjuszem knujesz coś i gadasz?

I dlaczego w mózgu masz płomień
i podrywasz myśl do gonitwy,
gdy w baterję tłucze grom po gromie
i wychodzą czworoboki na bitwę.

Poruczniku, nie dla ciebie parady,
od orderów i rang uciekaj.
Porzuć armję i przełam szpadę.
Inna ciebie batalja czeka.

Poruczniku, obejmij pluton.
Oto ci słuchać cię będą:
Galileusz, Kopernik, Newton.
Oni z tobą królestwo posiędą.

Droga Mleczna — generalską wstęgą,
konstelacje — twoje ordery,
wszechświat — księgą.
gwiazdy — litery.

* * *

Ile lat ma ten Polak-dziecko
z wichrowemi kosmykami nad czołem.
Któżto wstąpił w aulę królewiecką
malowaną w złote archanioły.

W lot pojęcia chwyta jak strzały,
ani trwożą go ani kaleczą,
już w labirynt spieszy się i wdrąża,
już Arjadny nitkę w palcach snowa,
w korytarzach i piętrach ten śmiałek
najzawilszą ściga myśl człowieczą,
najśmiglejszym ideom nadąża,
wszystko mieści straszliwa głowa.

Już się z Kantem do gry odważył.
Już dysk myśli przerzuca o milę,
największych wyzywa mocarzy.
Oto za nim daleko w tyle
siedm słońc wyprzedzonych się żarzy.
Któż mu sprosta w chyżości i sile?

* * *

Lecą, lecą gwiazdy sierpniowe,
błękitnie przekreślają ciemność.
Ciepły wiatr od mórz dalekich nawiewa.
Szklanna fala o rafy koralowe
swą melodję roztrąca tajemną.
Płynie glob we wszechświat. Szumią drzewa.

Dudnią działa, zaprzęgi, jaszcze,
batalјony gruchocą po bruku,
Bonaparte wraca do Paryża,
cieknie deszcz po kirasjerskich płaszczach.
Przemarsz pod trjumfalnym łukiem.
Noc się zbliża.

Noc, Europa, zgaszone miasta,
extrapoczty, intrygi, bale,
tłum się bawi, upija i szasta.
Strąca niebo lampy meteorów.
Co sekundę człowiek w otchłań leci
— czyjąś duszę śmierć rzuca na szalę
prosto w bezdeń sierpniowego wieczoru.

Rok tysiąc ośmset trzeci.

I dziś właśnie, o tej godzinie
w mózg runęła fala wszechtworząca.
Zawirowały myśli, spięły ogniwa koliste,
na wiązaniach dźwignęły swe przęsła.
Wyżej, wyżej, ze sfery w sferę!
Pękają ostatnie skorupy pojęć bezwładnych i mglistych.
Oto się przedarł duch poza krawędzie.

W jeden nerw przestrzeń się zbiegła, czas się w rytm liczb zamienił,
już przestrzeń i czas nanowo urodzone w ruchu.
Na jednej nitce teraz wszechświat zawisa.
Pryska wiotkie pasemko ostatnie.

I: heureka!
Wszechświat cały na jaźni się trzyma.
jeden konkret z jej rdzenia wybucha.
Atlas ożył: Stwórczy gest olbrzyma:
Genezis z ducha.

Teraz już cyklopowym młotem kuć i walić,
wolę uelastycznić w most stalowy.
Po moście w wieczność iść i tworzyć,
ludzkość ocalić,
dopełnić plany Boże.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Lecą gwiazdy. Blednie mrok sierpniowy...

* * *

Po dnach wąskich uliczek Marsylji
sinych w cieniu, białozłotych w słońcu
chodzą ludzie — upadłe anioły,
pełzną ludzie — embrjony światów.

Tysiąc żagli — skrzydeł motylich
na pluszczących łodzi tysiącu
za horyzont wypływa na połów
żywem srebrem ryb jędrnych bogaty.

Dzwoń Marsyljo we wszystkie dzwony,
bij z okrętów salwy honorowe.
Człowiek pewien — żywa nieskończoność
pod twym dachem stromym skłonił głowę.

Homo quidam, ponoś z nad Wisły
artylerji mistrz doskonały,
genjalnemi słynny pomysły —
jakież wiatry go tu przygnały?
Homo quidam, niebios architekt,
gwiazdozbiorów koneser biegły,
mieszka w jednej z czynszowych klitek.
w starym domu z czerwonej cegły.

* * *

Pośród zgiełku stu ulic, pośród wozów turkotu,
gdy zewsząd skokami na mózg chaos jaskrawych wrażeń, —
wystarczy cofnąć się w siebie, myśl zwinąć w kłąb, rozżarzyć,
wystarczy koło rozpędzić o stu miljonach obrotów
i jak Eljasz na ognistym rydwanie
zasady samoczynnej
poszybować ponad wszystkie szczyty.

Tam już z siebie tworzyć i wyłaniać,
tam już czerpać z energji ukrytej
wiedzotwory wciąż nowe, wciąż inne.

Tam nic niema, tam otchłań pusta,
tylko zero ruchliwe i ścigłe
niewysłowna samo-potęga
prędko wymawia wzory jak niemilknące usta,
cyfry jak motyle chwyta, na słów nabija igły,
wpisuje w księgę.
Tam nic nie było przedtem, tam wszystko powstaje naraz,
pojawia się mocą własną i w kryształ bezwładu zastyga.
Tam genezyjski akt, tajemnica jak wszechświat stara,
pędzi w bezgłośnym wyścigu na stu równoległych kwadrygach.

Tam stwarzasz kąt, a z kąta linja wytryska,
trącisz ruch i już lecą krzywe i proste,
obrócisz, a tu nicość w figury obrasta
czworokąty, trójkąty, koła,
idziesz dalej, a już wklęsła półkuli miska
pojemną przybiera postać
i już chyży ostrosłup, już brył spiętrzone miasta,
już przestrzeń na współrzędnych, jak na trójskrzydłych aniołach
w miljardach punktów zakłada się, zaludnia.
Otoś zrodził graniaste, współżywe fantomy,
otoś majak istnienia rozcieleśnił przejrzyście
w potok kształtów rozpluskał nicości studnię,
w której myśl tonie bez dna.
Jutro z brył tych powstaną orbity, Boże domy,
i słońca się w środek orbit posypią jak liście,
zawiruje pieśń międzygwiezdna.

Naraz fontanna liczb wybuchnie w mózgu bezszumnie,
gdy rytmem nieskończonym poczniesz odtwarzać chwile.
Czas w wojskach liczb wyruszy na pielgrzymkę wieczystą.
gdy odejmując dodasz, a dzieląc jednię zmnożysz,
gdy pędząc skokami stopni w szeregów kolumnie
w różniczkach się i całkach rozwiniesz zawile
i liczbą niewymierną jak kosmiczną glistą
popełzniesz przez dróg mlecznych straszliwy szlak Boży.

Jużeś ten ciężar poczuł na grzbiecie olbrzymi.
już kulami żonglujesz. trwając ponad próżnią,
radjoaktywnych mgławic kosmos dymi,
promienny słońc karuzel z nocą się poróżnił
i z gorejących centrów twych heljosystemów
z gwizdem rakiety komet prostopadle strzela.

W zawierusze parabol stoisz marmurowy
jak słup żywy, jak kościec gwiaździstej harmonji.
Już widzisz cel w oddali, już idziesz ku niemu.
już godzi myśl strzelista w sam rdzeń tego celu
i poprzez złote przęsła wszechmocnej budowy
dźwiga się z ciebie w niebo Anioł Kosmogonji.

* * *

Jakaż siła udźwignie takie życie wzniosłe,
któżby mógł tak trwać codzień nad światem wyżynnie.
Któżby śmiał, jak ten wyrzec: Nad kosmos wyrosłem.
I żyć. I jeść za stołem. Rozmawiać gościnnie.

Monsieur Wroński w wytartym bronzowym surducie,
czyś to ty po bulwarach przechadzał się codzień?
Czyś to ty na balkonie wśród bluszczów się smucił
nad globem co go boski nawiedził przechodzeń?

Monsieur Wroński, jak mogłeś tak żyć pośród ludzi,
za siódmą ścianą świata, w elementów sferze,
codzień wieczór zasypiać i rankiem się budzić
i, po ziemi stąpając, do niebios należeć?

Jak mogłeś patrzeć na nas, na globów embrjony,
żyjące jak zwierzęta nieświadome celu,
ty coś jak Laokoon we Fatum wpleciony
przyszłym wiekom grał wielki, jutrzenny ich prelud?

Jak mogłeś życie własne utrzymać, udźwignąć.
i trwać tak i nie runąć znużeniem kamiennem,
ty coś był między nami jak alarm i sygnał,
przez Boga w świat rzucony jak anioł w Gehennę.

Bazaltów trzeba było, bronzów i marmurów,
płaczących alabastrów w oliwnych lamp kręgu,
greckich laurów i hymnów sykstyńskiego chóru,
by sława twa ogromna naszych głów dosięgła.

Rycz Francjo jak lew z bólu, że prorok był w tobie,
boś mu głuche milczenie usłała jak cmentarz.
Nie chodziłaś ty po nim we wdowiej żałobie,
więc czemu go dziś budzisz — — — dlaczego pamiętasz?!

* * *

Biją dzwony, grają dzwony w wiejskim kościele.
Kolorowy lud się spieszy witać niedzielę.

Srebrzą dzwony, złocą dzwony modre powietrze.
Zgasły gwiazdy, tylko jedna świeci najbledsza.

Jak iskierka lśni iglasto cicha Zaranna.
Na ołtarzu w wiejskim kościele Najświętsza Panna.

Kraj wokoło rozpostarty, jak płaszcz pod nogi.
Bywaj jutrznio, witaj jutrznio — a z Panem Bogiem.

Szemrzą zboża, snują zboża rytmiczne chwianie.
Pełno maków, pełno bławatów, jak w Zmartwychwstanie.

Lniane głowy, złote głowy, chłopięta boso.
Idą rzesze procesjonalnie, Panienkę niosą.

Ona w gwiazdach, w szafirach cała, na globie stoi:
Chodźcie do mnie, klękajcie przy mnie, ludzie moi..

— —

Myśl się smuży, obraz snowa na krosnach powiek.
W dalekiej Francji, samotnie marzy... Człowiek.

*

Pod piramidy trudu, pod góry ludzkiego mozołu,
na których litanja stuleci hieroglif pisze zawiły,
przyszedłeś mężu groźny na nowych zagadek polów.
rozwikłać kroniki przeddziejów, czem syte i jak żyły.

Wielka cię mroczna scena przykuła i urzekła.
Męka pokoleń wielu twarz ci bruzdami osiadła.
Ty, biały klucznik niebios, spojrzałeś w bezdeń piekła
Łomotały miarowo zegary, głucho szczękały wahadła.

I wyszedł on z pomroczy, Sfinks, mogił stróż zaklęty.
Oblicze miał na bronz spalone pożarem pustyń.
Wstała poczwórna poczwara, smok z przed Świętego
[Świętych
i czarna kurtyna z Sais na tło mu podała swe chusty.

I Sfinks rzekł tylko: Niema. A on jak echo: Stworzę.
I Sfinks zamruczał w ciemnościach: Cmentarz grzechu.
A on, dłoń wznosząc w niebo: Ożywię w imię Boże!
Aż zbladło oblicze ciemne, skamieniałe w uśmiechu.

I pytał Sfinks Człowieka
— strażnik poczwórnej pieczęci —:
Co jest — życie?
Jeżeliś ty jest moc i duch, jeżeli mądrość masz rozplątać
[rzeczy zawiłe,
jeżeliś drogom mlecznym wydarł tajemnicę ich krążeń,
jeżeli umiesz z brył i liczb słońca i planety wyłaniać,
odpowiedz.
I rzekł mu Człowiek: Nie wiem... Idę. Tworzę.

Idę. Przedemną noc i mrok.
Rózgi komet. Gwiazdy spadające.
Idę pośpieszny i wielokrotny jak rzesza.
Zawisł Thanatos nademną i skrzydłem czarnem pogania.
Dojdę. Zdążę.
Zanim opadną wieka trumien nad wszystkich żywotów
[kołyską
Zanim pierścień sam siebie w nieskończoności doścignie.
Odgadnę, wzlecę, dostrzelę.
Ja, duch, z łuku tęczy przymierza w cel wypuszczona
[strzała.
Ja celów cel ostateczny.
Idę, w ludach zbudzony, już przecieram odmykane powieki.
Otom jest samoczynna wola,
z siebie samego wstaję zwycięski, jak z trumny.
Wyruszam z gór i z dolin ziemię zaorać pod zasiew,
gdzie stąpam, z pod nóg mi dopełnienia wykwitają jak
[kłosy.
Serpentyny moich dróg w nieomylny zenit się wznoszą.
Za fundament mi globus, za dach środgwiezdne Słowo.
W Słowie się pozna duch, że był i że jest, że będzie.
Gdy już piętra umocni wszystkie najśmiglejszej,
[najpiękniejszej wieży,
gdy się wedrze na szczyt architektury świętej
i w otchłań swoją spojrzy, jak w studnię zawrotną czasu
i gdy swój bezpoczątek z bezkońcem w warkocz zaplecie,
gdy już wżłobi się myśl w swój straszliwy, prakosmiczny
[żywot —
wtedy się wolność strzelista w krzyku pozna radosnym
[wesela,
wtedy tragiczny los rozluźni oplot wężowy.

Słyszysz? Dosięgam!
Zadrżałeś, uśmiechnięta poczwaro.
Blednie w okropny grymas skamieniały bronz twego
[oblicza.

Żyłem w ucisku niewiedzy, dławił mnie błąd i grzech,
zgubił się we mnie Bóg w mgle i pomroczy — — —
Spójrz mi w oczy!
Czy pomnisz jak rozbiegł się we mnie duch w miljony
[niecierpliwych gońców,
jak rodziły się z mego Biosu niezliczonych pokoleń
[łańcuchy,
jakeśmy szukali wszyscy skradzionego zdradziecko Słowa?
Czy pomnisz jak się jąkały nieudolnych plemion języki,
jak się w konwulsjach i szlochach ślepe miotało życie?
Czy znasz ten epos mój, płód mój, ciężarny boleścią?

I czy wiesz, że gdy ci moi najświętsi, co mieli proroków
[skrzydła,
na rumowisku stuleci modlitwą podmyli gniew Boży,
otwarło się niebo zamknięte na twoje pieczęcie?
Czyś słyszał mówiące Słowo,
czyś widział tańczące góry
idące naprzeciw zorzy,
czyś się przeląkł, gdy zagrzmiał głos:
Trzeba narodzić się po raz wtóry!

Nie uciekaj w mrok przedemną,
już ty Los nie ujdziesz sam Losu.
Przebiłem ciemność.
Oto duch. Oto klucz mój. I sposób.

*

Nad wód odmętem — wysoko —
lśni maleńka iskierka iglasta.
Czy to jutrznia? Hej, wy z gniazd bocianich!
Tam pod iskrą w niebieskawym obłoku
z nad wód wzlatująca Niewiasta.
Pierzchną przed nią aniołowie otchłani.
Sztorm kurzawę gwiazd nawiał
i z pędzących światełek płaszcz skłębia,
coraz więcej tych złocistych globów.
Niebo zielono-złote jak ogon pawia.
Jakaś w niebie lśni słodycz gołębia,
którą księżyc w srebrne ciżmy obuł.
Odkądże to słońce o północy
promienisty swój przepych rozpiętrza?
Czemu z gwiazd dwunastu wieniec się rozwinął?
Kiedyś o tem szeptali prorocy,
że się zjawi tak ta Najświętsza.
Ave, ave, Virgo Divina!...

Z obnażonych tajemnic dna
wstaje ku niej straszydło, bluszcz zdrady,
co na imię ma Grzech i Błąd.
Kurczowemi ścięgnami gra
i zdeptane sycząc odpada.
Ostatni Sąd.

*

Panie generale Cavaignac!
Szefie rządu.
Oto do ciebie list piszę.
Czytaj te karty dzielny generale.
Odmienne one nieco od oficjalnych poglądów,
lecz zechciej ich głos usłyszeć.
Próżno twój pałasz w rewolucyjnym Paryżu
cięciami rozpacznemi krwawe widmo odgania,
próżno na salwy kul biskupy biegną z krzyżem.
Czasy idą dziejowej Gehenny: Krew w otchłani...
Już nie miecz, już nie rząd i siła
ten problemat okrutny rozwiąże.
Umyj ręce, umyj jak Piłat
i wyznaj: Nie nadążę.
Ona jedna zdolna was ocalić
i jej jednej ster państw powierzcie,
tej co jutrznią nad globem lśni.
Przyjmij chrzest wszechtworzącej fali.
Objawiona dziś światu nareszcie — — —
La Vérité Absolue.

*

Zagubieni my w gnuśnych padołach,
zatrzepotaniśmy w sieci.
Noc nad nami czarna jak smoła
wampirzemi skrzydliskami leci.
My pełzacze, bezwiedne Adamy,
Prometeje pracownych mitów
w labiryncie bez wyjść zbłąkani — — —
Ktoś gra nami nieznany dramat:
Pionki jakiejś kabały ukrytej.
Eli, Eli, lama sabachtani.

Rasy, lądy, plemiona, miasta,
praca bez dna i wojen Erynje.
W koszmar żywot się krwawo rozrasta,
aż się skruszy i stli i przeminie.

Ćmy Paryżów, Berlinów, Madrytów,
miljonami krążymy jak w zamęcie.
Kto jesteśmy? Odpowiedz z zenitu!
Odtrąceniśmy — — — i przeklęci?!

*

Czy słyszycie zbudzoną głosów wrzawę?
Chóry jakieś poprzez mgłę. Okrzyki.
Jak rozbijanych dzbanów jęk nawoływanie ogromne.
Słyszysz? Zgrzytnęły rygle, klucze.
Z hukiem ktoś otwarł wrota.
Lunęła jasność przez próg, wirowanie, falowanie się
[wszczyna.
Kołują słońca i tęcze, cieni rozbieganych gonitwa.
Fanfar mnóstwo.
Spadają szybko ostatnie malowane kurtyny.
Myśl je rozdziera nagłemi cięciami błyskawic.
Logos ożywczy zewsząd wodospadami wybucha.
Tron. Blask. Osoba. Bóstwo!

— —

Płyńcie, płyńcie strumienie narodów.
W trjumf uderz języków gwarze!
Oto wasze z piekieł exodus:
wstańcie — — — mocarze!

Potrzaskaj trumny ciał stwórczy gejzerze duchów.
Znikajcie w zwycięskim blasku ostatnie zmory, cienie,
Wyjdź Prometeju z miażdżącego oplotu łańcuchów.
Wyzwolenie! Wyzwolenie!

To nie świat, to wasz duch w rozsnuciu.
Rzeczywistość sam z siebie poczynasz.
Pójdźcie rozkuci!
Dość w mych winnicach wina.

Który w szatę godową odziany
niech wstąpi na weselną wieczerzę.
Porzucajcie zgniłe łachmany.
Prawda was w blask ubierze.

*

Wstąpił starzec na Synaj wieków,
tablicami spiżowemi miota,
ludy wzywa pod swoją komendę.
Jutro Bóg się narodzi w Człowieku.
Otwierajcie na oścież wrota.
Chodźcie ku mnie. Nauczać was będę.

Cóż to za starzec lwioczoły
na Watykan list śle do papieży?

Od kogoż to białe apostoły
na dwór carski przyszły w dzwon uderzyć?

Ach, czy pojmie wnuk Napoleona
tych kart groźnie proszalnych wymowę?

I czy w zgiełku wojennych kanonad
Starzec posłuch wymodli Słowem?

*

Pod dyktandem twoich warg z marmuru,
z których prawdę literą tchnie,
pisze prędko nad stołem przygięta
pani Szarrazin de Montferier...
Twoja żona... A może święta?...
Z okna płynie rzeźwy wiew lazurów.

Monsieur Wronski, jużeś ty nie z nami.
Już wpół duchem wychylonyś w wieczność.
Blada pani podkreśla łzami
dyktowanych prawd ostateczność.

Monsieur Wronski, czemuś zmilkł na chwilę?
Czy ten wróbel na białej framudze
jakiś obraz daleki przypomniał?
Czy w tych ćwierków i trzepotów smudze
jakiś w tobie wspomnień rytm zogromniał
i o Polsce coś gadał zawile?

Czy dlatego twój uśmiech rozwiośnił
osowiałe, sposępniałe cienie,
co czekały w kątach na twój zgon?
Czyliś dostrzegł wszechludzkie zbawienie
tam, nad Wisłą mające swój schron?
Że się sen twój tam spełnił i dośnił?

Czyś myślami biegnąc pod Warszawę
siebie chłopca ujrzał na ławecie,
jak wśród grzmotu pruskich dział na Czystem
płomień karty Platona oświecił,
byś mógł chłonąć litery ogniste,
ty, duch-orzeł srebrny w polu krwawem?!

Monsieur Wronski, już ty z Panem gadasz,
już się wdrążasz w stwórczy akt wszechświatów,
by próg piękna straszliwy przekroczyć.
Już nad tobą Wielkie Consummatum
nieruchomo spogląda w twe oczy
i jak zygzak piorunowy spada.

— —

„Więc się żegnam z ludami wszystkiemi:
Niemasz dla mnie chleba na tej ziemi".

„Więc już z ludźmi nie będę tu ciałem:
Tyle jeszcze powiedzieć im miałem".

„Więc zostańcie za ścianą, na świecie:
Gdzie ja idę, wy pójść nie możecie".

*

Bijcie w dzwony żałobne stolice,
płacz Europo drżąca i struchlała.
Oto wdowa samotna za trumną.
Nadlatujcie sine błyskawice.
Kulo globu rycz opustoszała
nad tą wielką, zwaloną kolumną.

Załomoczcie mu w bębny dobosze,
rzućcie wszystkie sztandary wojskowe,
przyszlij carze pułki twych żołnierzy.
Oto prawdę na cmentarz wynoszą.
Oto grzebią Jeruzalem Nowe.
Wszechświat cały na marach tu leży.

Światłość bierzcie, póki światłość macie,
bo już zewsząd ciemność dmie nawalna,
już gna popłoch rozproszoną trzodę.
Czemże będziesz po źródła utracie,
o pustkowie jałowe i skalne,
bez pastwiska prawdom i narodom.

Idą czasy bez głów i bez duszy.
Idą czasy Golgoty olbrzymiej.
Już was żadna nie obroni łaska.
Samym w sobie mus wam się kruszyć.
Świat uduszą w trującym dymie
czarty w gazowych maskach.

*

Dym i mgła. Dym i mgła wszędzie.
W mgłę się cofa kontur śpiżowy.
Znowu widzę gigantyczną bryłę.
Znów sklepiona kopuła głowy
we mgle blednie, jak bóg w legendzie.
Wstąpił na bloki pochyłe.

Już zastyga straszna struktura.
Prawo wieczne w posąg przerasta.
Już żywym nie przemawia gestem.
Patrzą oczy, oczy z marmuru:
milczy świadek wiecznego Miasta.
Oto jestem. Ja... który jestem.

Znaczenie sztuki ludowej

Gramatyka jest mądrością przekraczającą nieskończenie inteligencję poszczególnego człowieka — a jednak dostępną jest ona dla poczucia każdego dziecka. Jeżeli zapytamy: *„kto stworzył gramatykę?"*, to musimy odpowiedzieć, że niemógł jej stworzyć, ani wysiłek poszczególnego człowieka, ani też niemógł jej stworzyć wysiłek zbiorowy, (jako suma wysiłków poszczególnych ludzi). Nie mógł jej stworzyć świadomie nikt, ponieważ nikt do dnia dzisiejszego nie jest w stanie zrozumieć jej istoty. Źródło twórczości gramatycznej leży bezsprzecznie poza człowiekiem tak, jak poza pszczołą leży źródło tej twórczości, która wyraża się w architekturze plastra miodu. Podobnie, jak układ sześciobocznych komórek woskowych przedstawia wspaniałą koncepcję geometryczną, rozwiniętą genjalnie w trzecim wymiarze — koncepcję, przekraczająca nieskończenie granice zakreślone inteligencją i wyobraźnią każdej pszczoły, tak właśnie rzecz się ma i z mową ludzką. Największa inteligencja ludzka nie sięga tam, gdzie trzebaby sięgnąć, aby zrozumieć zasadę ludzkiej mowy.

To samo mniejwięcej powiedzieć można o muzyce. Melodja, którą wygrywa na fujarce pastuszek, jest cudowną kreacją, w której tony wiążą się ze sobą z jakąś nieubłaganą logiką. W tej logice jest jakby matematyczna ścisłość; można ją nawet cyfrowo wykazać, ale zrozumieć jej nie można. Słuchając melodji, wyczuwa każdy konieczność, jaka wiąże poszczególne dźwięki, wytwarzając z nich nierozerwalną jedność; każdy wyczuwa plemienną zasadę poza-względnie ponad-indywidualną. W melodji, podobnie jak w zdaniu, staje przed nami twór, nie mający żadnego pierwowzoru w świecie zawnętrznym. Przejawia się tu zmysłowo, a więc materjalnie, jakaś wielka tajemnica bytu, niepojęta dla myśli choćby najwnikliwszej[1]).

Tęsamą tajemnicę oglądać możemy w zdobnictwie ludowem. W pracach moich, dotyczących budowy ornamentu, porównywałem często rytmiczną mowę zdobniczą z muzyką. Ornament nazywałem muzyką plam i linij. Wskazywałem też, że organizacja poszczególnych motywów w ornamencie daje się pod pewnemi względami porównać z organizacją słów, związanych w jednem zdaniu. Wskazywałem wreszcie, że ornament wyraża równocześnie i w tymsamym stopniu człowieka, jak przedmiot, na którym występuje. Ten dziwny cud wyjaśniałem w ten sposób, że ornament wyraża *stosunek człowieka do przedmiotu*.

Obecnie pragnę uwypuklić jeszcze niepojętość tego cudu i przypomnieć, że o czemś podobnem wspomniałem przed chwilą, omawiając tajemnicę mowy. Wskazałem, że jedna i tasama zasada, wytwarzając „zdanie", umożliwia ujęcie zarówno wewnętrznego świata, jak świata zewnętrznego; tasama zasada zdolna jest tedy ująć zarówno procesy psychiczne, jak zewnętrzne procesy materjalne.

Widzimy obecnie, że także i ornament umie przerzucić się mostem pomiędzy temi dwoma światami. Jeżeli umiemy odczuć rytm linij zdobniczych, oplatających czerep garnka, to odnajdziemy w nich pieśń duszy plemiennej — a równocześnie odczytamy w nich sens naczynia. Kto, badając ceramikę przedhistoryczną, przekona się, że tak jest istotnie, ten dozna może uczucia pewnego onieśmielenia, pewnego wzruszenia, jak człowiek, który stanął w obliczu niepojętego misterjum.

Człowiek rodzi się i żyje w świecie zaczarowanym. Codziennie i na każdym kroku natrafiamy na cuda, dziwniejsze od tych, które znamy z bajek: ale mózgi nasze są tak zbudowane, że umieją przemienić w banalność wszystko, co się w nich odbija. Nasze mózgi są takiemi lusterkami, które przemieniają najbardziej niepojęte cuda na sprawy pospolite. Urządzenie to jest niewątpliwie celowe; służy ono do tego aby człowiek mógł spokojnie rozglądać się po świecie i zajmować się codziennemi sprawami. Gdyby takiego urządzenia nie było, stanęlibyśmy może wszyscy oniemieli z podziwu nad tem, co dokonuje się bezustannie wokół nas — i nie bylibyśmy zdolni do wypełniania naszych codziennych zajęć i obowiązków. Przezorny los dał nam takie ubanalniające szkiełko, i trzeba, abyśmy przez nie patrzyli; myślę jednak, że są godziny, w których dobrze jest starać się spojrzeć na świat niejako bez tego szkiełka. Z chwilą, gdy się to uda, roztaczać się zaczyna przed naszym wzrokiem świat inny — stokroć bardziej nieprawdopodobny od tego, jakim nas zadziwiać pragną reżyserowie fantastycznych filmów. Rzeczywistość bowiem, którą wtedy postrzegamy, jest nieporównanie bardziej fantastyczną od wszystkiego, co wymyślić potrafi sztywny mózg człowieka. Myślę, że dobrze jest dla dzisiejszego człowieka, któremu „pospolitość pusta — włazi w oczy, w uszy, w usta", spojrzeć czasem na ten zaczarowany film rzeczywistości, aby mógł się otrząsnąć z owego najdokuczliwszego ciężaru, jakim jest banalność codzienności.

Otóż, taki właśnie przedziwny świat fantastycznej rzeczywistości maluje nam plemienna twórczość ludowa — twórczość poza-indywidualna, a więc poza-mózgowa, a przeto wolna od owego ubanalniającego szkiełka. I dlatego więcej rzeczywistej treści świata kryje się w legendach, baśniach i bajkach, niż jej ująć potrafi spekulatywny mózg ludzki. I więcej rzeczywistej logiki kryje się w prostej melodji i w prostym ornamencie, niż w takich dziełach człowieka, które się zrodziły w świadomej jego myśli.

* * *

Prawdziwy ornament jest właściwie zawsze tworem plemiennej intuicji. Jak wspomniałem, wyraża on zarówno wewnętrzne życie psychiczne, jak zewnętrzną prawdę świata materjalnego. Prawo organizujące twory tego rodzaju, jest tedy odbiciem najistotniejszych założeń bytu; tylko bowiem najistotniejsze założenia bytu sięgają tych sfer, gdzie wyrównuje się przeciwieństwo pomiędzy światem zewnętrznym, a światem wewnętrznym. Jeżeli sobie zdamy sprawę z tego stanu rzeczy, to zrozumiemy, że świadoma twórczość jednostki nie może (na obecnym poziomie rozwoju człowieka) sięgnąć do tych źródeł; a wobec tego stanie się nam jasnem, że to, co dzisiejszy człowiek wypracowuje w dziedzinie zdobnictwa, musi być bardzo ułomne, bardzo niedołężne tak jak niedołężne są wszystkie próby stworzenia sztucznego języka. Logika ornamentu nie jest właściwie w pełni dostępna dla mózgu człowieka — a chociaż poczucie może do niej dotrzeć, to jednak i ono ujmuje ją dzisiaj tylko powierzchownie i niejasno. *Ale poczucie można kształcić.* I tutaj właśnie otwiera się droga, która jest niewątpliwie drogą rzetelnego, zdrowego postępu, ponieważ jest drogą pogłębiania poczucia rzeczywistości.

Kształcenie poczucia, o jakiem mówimy, dokonywać się może w dwojaki sposób: po pierwsze, może ono dokonywać się przez poddawanie się wpływowi dobrych ornamentów — przez *bezosobiste wczuwanie się w sztukę plemienną;* po drugie, może się ono dokonywać przez umiejętne, tj. możliwie najbardziej *żywe myślenie*. Patrząc na rzeczywisty ornament, można tedy, bądź to poddawać się niejako biernie jego działaniu, bądź też można próbować świadomą myślą sięgać w głąb żywej logiki, jaka się w nim manifestuje.

Człowiek jest tak zbudowany, że nigdy niemoże w pełni korzystać z obu tych dróg równocześnie. Obserwując życie, możemy się przekonać, że dziecko nie przyjmuje właściwie rozumowych wyjaśnień: natomiast umie dziwnie wyczuwać to, co jest niejako poza pojęciami. Działa na nie „atmosfera", „przykład": wyczuwa ono sens nieuchwytnych gestów, czy wyrazów twarzy, wyczuwa sens najsubtelniejszych intonacyj głosu — ale bardzo słabo reaguje na logiczne uzasadnienie jakiejś prawdy. Toteż wytrawni wychowawcy wiedzą, o ile trudniej jest oszukać dziecko, niż dorosłego człowieka. Na tem też polega fakt, że dziecko uczy się bardzo łatwo każdego języka — wyczuwa świetnie logikę jego gramatyki i składni — ale często niemoże zrozumieć, co to jest rzeczownik, czasownik i t. p.

U człowieka dorosłego, rzecz się ma przeciwnie: umie on w zasadzie świetnie opanować mózgową myślą zawiłe konstrukcje pojęciowe; z natury swojej dąży do zrozumienia zjawisk, ale nie sięga bezpośrednio poczuciem w treść rzeczy: — Człowiek dorosły uczy się znacznie łatwiej gramatyki i składni, niż samej mowy.

Ogólnie możnaby powiedzieć, że dziecko opanowuje rzeczywistość poczuciem — i dopiero z poczucia przenosi swoje przeżycia w sferę myśli; człowiek dorosły natomiast opanowuje rzeczywistość myślą, i dopiero pod wpływem tej myśli rozwija w sobie poczucie. Naturalnie, że charakterystyki tej nie należy brać pedantycznie; chodzi tu jedynie o zaznaczenie pewnej różnicy jakościowej w ogólnem nastawieniu psychicznem dziecka i człowieka dojrzałego. Rozumie się samo przez się, że nie należy wyobrażać sobie, jakoby dziecko niezdolne było do świadomego myślenia — ani, jakoby dojrzały człowiek nie był zdolny do bezpośredniego wyczuwania; pragnąłem tylko zwrócić uwagę na pewną tendencję ogólnie znaną, ponieważ łączy się ona ściśle ze sprawą sztuki wogóle, a w następstwie, także i ze sprawą zdobnictwa ludowego.

Z tego, co powyżej zostało powiedziane, wynika bezpośrednio, że w młodym wieku można wyczuwać bezpośrednio zasadę organizującą, która się manifestuje w każdym prawdziwym ornamencie ludowym. Natomiast w wieku dojrzałym droga ta będzie coraz bardziej zamknięta, a natomiast otwierać się zacznie inna droga prowadząca przez świadome, logiczne myślenie.

U dziecka można tedy kształcić poczucie zdobnicze bezpośrednio, pokazując mu np. szlachetne okazy sztuki ludowej; u człowieka dorosłego metoda taka okaże się mało owocną, a natomiast pojawi się możliwość rozumowej analizy formy ornamentalnej. Dopiero za pośrednictwem tej rozumowej analizy rozwijać będzie można stopniowo samo poczucie. Wniosek ten, wynikający z teoretycznych rozważań dotychczasowych, potwierdza się w pełni w życiu praktycznem, przynajmniej w drugiej swojej części. Trudno jest naturalnie stwierdzić empirycznie, że dziecko, otoczone samemi dobremi ornamentami, rozwinie w sobie poczucie budowy ornamentu; natomiast łatwo jest znaleźć bardzo liczne przykłady, że człowiek dorosły, nawet jeżeli z prawdziwem zamiłowaniem poświęca się przez całe życie np. etnografji, albo prehistorji — nie wyrabia w sobie wcale rzeczywistego poczucia budowy ornamentu. Osobiście, miałem również możność stwierdzić w sposób jak najbardziej miarodajny, że uczeń, mający około 20 lat, zdobywa to poczucie stosunkowo dość szybko, jeżeli mu się poda rozumowe wyjaśnienia, odnoszące się do „składni ornamentalnej".

Nawiasowo pragnę zwrócić uwagę na tę okoliczność, że u ludu wiejskiego spotyka się jednostki dorosłe, które, tworząc z nieuświadomionego poczucia nowe formy zdobnicze, zdradzają zadziwiającą zdolność logicznego i jednolitego rozwiązywania tego trudnego problemu. Patrząc na dziewczynę wiejską, wykonującą pisankę wielkanocną, albo haftującą fartuch, czy serwetkę, odnosiłem takie wrażenie, jakgdyby dziewczyna ta znała teoretyczne założenia budowy ornamentu. Umie ona tworzyć motywy z elementów technicznych, umie logicznie przeprowadzić podział całej płaszczyzny, potrafi znakomicie umiejscowić formę główną, uzależniając od niej pozostałe zdobiny; umie dziwnie poprawnie rozwiązać szlak zamykający, wraz z narożnikami, umie mądrze powiązać kontrastowe formy, jednem słowem, nie rozumiejąc niczego, umie doskonale wyczuć to wszystko, czego z trudem, przez lata całe uczy się młody artysta. Patrząc na to, zapytywałem nieraz, jak należy wyjaśnić tego rodzaju zjawisko? Być może, że przez to dziecko ludu przemawia jeszcze bezpośrednio mądrość plemienna — ale może przychodzi tu również do głosu poczucie indywidualne. Kto wie, czy nie mamy tu do czynienia z poczuciem indywidualnem, które się mogło rozwinąć dzięki tej okoliczności, że dziewczyna wiejska otoczona była od dziecka tem wszystkiem, co żyje jeszcze wśród ludu w postaci bajek, piosenek, zdobnictwa i t. p. Kto wie, czy i dzieci inteligencji nie rozwinęłyby w sobie analogicznego poczucia, gdyby były wychowywane w sposób odpowiedni?

Pytanie to nie da się narazie rozstrzygnąć; niewątpliwem wydaje mi się natomiast, że wszystko, z czem się styka obecnie dziecko, chowane w mieście, wpływa bardzo szkodliwie na jego poczucie. Odnosi się to do mody, do afiszów i innych reklamowych pomysłów, do witryn sklepowych, do urządzenia wewnętrznego mieszkań — a równocześnie także do programów szkół początkowych, które, pomimo znacznego postępu, odwołują się jeszcze ciągle zbyt silnie do abstrakcyjnego wysiłku pojęciowego[2]).

Obydwie, omówione powyżej drogi, prowadzące do rozwinięcia indywidualnego poczucia organizacji ornamentalnej, wymagają oczywiście bogatego i wartościowego materjału zdobniczego. Bez względu na to, czy pragniemy działać bezpośrednio na poczucie, zapomocą przykładów, czy też pragniemy uświadamiać związki, jakie istnieją pomiędzy składowemi częściami ornamentu, musimy przedewszystkiem rozporządzać gotowym materjałem i to materjałem miarodajnym. Ten materjał znajdziemy tylko w zakresie twórczości plemiennej. Będą to zatem, albo ornamenty historyczne, względnie przedhistoryczne, albo ornamenty ludowe, mniej lub więcej współczesne.

Obydwie grupy muszą być naturalnie wyzyskane. Wśród ornamentów historycznych i przedhistorycznych znaleźć można bardzo wiele przykładów pierwszorzędnych. Nie ulega wątpliwości, że człowiek odległych epok posiadał silniej rozwinięte poczucie plemienne i dzięki niemu mógł realizować formy głęboko mądre i jednolite; ale człowiek ten żył w atmosferze zupełnie innych kultur, a wobec tego twórczość jego ma dla nas zawsze coś bardzo obcego. Współczesna sztuka ludowa niema w zasadzie tak pełnej dojrzałości; występują tu często silne zmącenia, wywołane wgrywaniem się świadomej woli indywidualnej — ale zato jest ona nam znacznie bliższa, znacznie zrozumialsza.

Mieszkając na wsi, możemy do pewnego stopnia wniknąć w atmosferę tego życia; możemy się zaznajamiać z sensem każdego przedmiotu, na którym występuje ozdoba; możemy pogłębiać poczucie sentymentu, czy stylu, wsłuchując się w rytm piosenek i gwary — jednem słowem, możemy poznać „bezpośrednio" całe tło, na którem wykwita sztuka ludowa — i w ten sposób możemy przeżywać tę sztukę znacznie żywiej, znacznie intymniej, niż sztukę odległych epok.

Jeżeli zatem historja i prehistorja dostarcza nam liczne przykłady nieraz lepiej skrystalizowane, względnie bardziej wysubtelnione, to etnografja daje nam przykłady bardziej „czytelne". Można powiedzieć, że jedna pomaga nam do korzystania z drugiej. Zdaje mi się, że stanęlibyśmy bardzo bezradni wobec spuścizny wieków ubiegłych, gdybyśmy nie mieli pośrednika w postaci tego, co żyje jeszcze pod strzechami i co się tam dzisiaj jeszcze rodzi w naszych oczach.

Jeżeli się nad tem zastanowimy, to wtedy zrozumiemy olbrzymią wartość sztuki ludowej, często niepozornej i do niedawna tak bardzo lekceważonej; zrozumiemy, że jest to skarb poprostu bezcenny i niezastąpiony. Sztuce ludowej zawdzięczamy w gruncie rzeczy, że nić tradycji nie zerwała się aż do naszych czasów i że możemy uzyskać wgląd w ten świat tak cudowny i tak dziwnie mądry — w świat, który zostałby bez tego pośrednika w znacznej mierze niedostępny, a więc nazawsze może stracony.

(c. d. n.)

Karol Homolacs.

---

[1]) Jeżeli komuś trudno jest, pomimo wszystko, pogodzić się z istnieniem takiej mądrości pozamózgowej, a jednak wypowiadającej się za pośrednictwem organizmu, ten niech spróbuje zastanowić się nad tą mądrością, jaka się przejawia w budowie jego własnego ciała, i czynna jest bezustannie w tem ciele, zupełnie bez jego wiedzy. Czy skieruje swój wzrok na genjalną budowę kości, mięśni i t. p., czy na niezrównaną strategję ciałek krwi i ich mobilizację przeprowadzaną wzorowo, czy na alchemię narządów trawienia, czy na niedościgłą farmakologję gruczołów, czy na nieporównaną w swej doskonałości telefoniczną sieć nerwowych narządów — wszędzie zaskoczyć go musi czynna inteligencja, przewyższająca niepomiernie każdą inteligencję ludzką. Naiwnem byłoby wyobrażać sobie, że wszystko to powstało, i działa automatycznie — a to z tego prostego powodu, że nie może istnieć taki automat, któryby twórczo sam siebie tworzy i ulepszał. Trzeba poprostu zgodzić się na fakt oczywisty, że czynna tu jest twórcza, a więc żywa myśl — ta sama myśl, którą widzimy w całej żywej przyrodzie, ta sama, którą w akcie świadomym uchwycić zdolny jest nasz mózg. Trzeba mieć pokorę i zgodzić się na to, że rzeczywistość którą możemy postrzegać, często zupełnie jest niestrawna dla naszej inteligencji.

[2]) W artykule: „Sztuka jako czynnik wychowawczy" drukowanym w czasopiśmie „Zet" rok 2 nr. 3 ,starałem się z innej nieco strony oświetlić znaczenie rytmu w rozwoju człowieka.

Leon Chwistek — Demon Intelektu

Jeszcze filozofja (VII)

(Dokończenie)

Wierzę i wierzyłem oddawna, że nowa metafizyka powstanie na tle zetknięcia poglądu fizykalnego z biologją, bo kwestje, dotyczące samych pojęć jako takich i „elementów wrażeniowych" (Chwistek, Mach), czyli jakości (Cornelius), są mimo pozornych i sprowadzalnych sprzeczności między psychologikami a fenomenologami, już prawie na wyczerpaniu, i blisko punktu uspokojenia ostatecznego. Tamte problemy, związane z niesprowadzalnością biologji do fizyki, też uspokoją się na pewnym punkcie i nastąpi nieskończony wzrost „entropji" filozoficznej. Mam wrażenie — bez żadnej megalomanji — że stanie się to na linji, którą może narazie w sposób zapewne niedoskonały wyznacza mój t. zw. „system" („indywidualny" narazie przynajmniej). Potem ostatecznie może to wszystko być sformalizowanem, zmumifikowanem scarnapionem i definitywnie przechwistanem[1]).

O strefizmie pisać nie będę, jakoteż o sztuce bawienia się, nie wiem bowiem, czy strefizm był najlepszą zabawą Chwistka, czy też może, zabawa wszystkich byłaby najlepsza, gdyby była streficzna. Chociaż kto wie, czy w strefizmie — poza zasadą Chwistkowego malowania — nie kryje się jakieś „metafizyczne", powszechne prawo bytu: są strefy ciepłe, umiarkowane i zimne — strefy świerków, buków i kosówek, strefy uczuć, klas, inteligencji, problemów wszystkiego — może Bóg tworząc świat był naprawdę strefistą?

Zostawiam ten problem jako „zaznaczony", ale nie rozwiązany.

Wracając jeszcze na chwilę do estetyki Chwistka[2]), (nie mogę rozstać się z tym Demonem) w tejże samej książce, znajdujemy w niej chaos pojedyńczych zdań, nie ujętych w żaden system. Przedewszystkiem razi nas zupełna sprzeczność w stosunku do traktowania rzeczywistości i formy — opadają ręce i nogi nawet, na myśl o szczegółowej krytyce. Należałoby napisać nowa estetykę w odpowiedzi na tę całą baliwernję, z którą trzebaby walczyć zdanie po zdaniu, bo ogólnej idei w niej doszukać się nie można. Raz słyszymy, że rzeczywistość w sztuce jest główną rzeczą (że mamy do czynienia w niej z rzeczywistością) — to mówi „formista" — o parę wierszy dalej dowiadujemy się, że tematy są niczem, bo „treść obraca się w ciasnych granicach i forma wykazuje kolosalne różnice", a „nieuchwytne zmiany formalne mogą z dzieła sztuki uczynić rzecz bez wartości". Moja estetyka zasadniczo jest pominięta, jakby jej nie było zupełnie. Pomijam wzmianki o rozmyślnie sfałszowanych moich ideach, n. p., że „jako kryterjum (!) wysunąłem dreszcz metafizyczny", związany z „paradoksalnem (?!) stwierdzeniem jedności w wielości". Cóż na to odpowiedzieć — o niezrozumienie trudno Chwistka posądzić, ale jeśli mówiąc o mojej estetyce nie mówi o pojęciu Czystej Formy (konstrukcji), to chyba musi być w tem pewna doza złej woli. Z tem zaś walczyć niepodobna. Chyba — przychodzi mi na myśl jeszcze jedyne usprawiedliwienie — że tak znakomity logistyk jak Chwistek, zstępując do takich nizin, jak estetyka i to estetyka moja (który byłem jego przyjacielem od 9-go roku życia) nie zasługuje ani na przeczytanie, ani na wysiłek zrozumienia, a przytem utrąca się w ten sposób w czyichś tam oczach kogoś niewygodnego, który tyle na temat estetyki istotnych rzeczy powiedział, że nie wiele Chwistkowi do powiedzenia zostało i musi on z konieczności pleść swoje streficzne, smalone dubki, bo nawet dubami tego nazwać nie można.

Naprzykład podam tylko jeden charakterystyczny wypadek: ponieważ ja wymyślam na „znawców sztuki", którzy się na sztuce nie znają (nie odczuwają jej i nie mają żadnego określonego systemu pojęć, w którym mogliby swe odczucia zafiksować i umotywować), Chwistek musi — aby być oryginalnym i w niczem nie zgodzić się ze mną — (t. zw. Individualitatsbeharrungsgesetz) powiedzieć, że to, „że ktoś jest złym znawcą sztuki, żadnej mu ujmy nie przynosi". Przecież zdanie to jest wysoce niemoralne. Chwistek zwalnia w niem znawców ze znania się na sztuce i pozwala na dalsze trwanie ich pojęciowego bałaganu, bo sztuka jest tak skomplikowana, wieloznaczna i djabli wiedzą jaka, więc wogóle na jej temat nic określonego powiedzieć nie można. Nie przynosi komuś ujmy, jeśli ktoś nie zna n. p. teorji Einsteina, albo nie odczuwa uroku obrazów El Greca — ale lepiej żeby znał i odczuwał i jedno i drugie — na tych rzeczach polega kultura. Ale ujmę przynosi, jeśli ktoś *oficjalnie jest znawcą sztuki,* mówi o niej, teoretyzuje na jej temat, wykłada swoje poglądy, mąci innym w głowie, pozbawia możności wybrnięcia z zagadnienia przez swoje perfidne plecenia — to przynosi mu ujmę. Tak postępuje Chwistek i to przynosi mu stanowczo wiele „ujmy" i bardzo byłoby źle, gdyby był w tem naśladowany. Nie byłoby wtedy postępu w żadnej ze sfer zatrutych jego demoniczną działalnością.

Nie wiem jaką wartość mają logistyczne dzieła Chwistka, ale te filozoficzne, pisane po polsku, a nie znaczkami, są albo stekiem banałów w tem co jest w nich pozytywnego, a w tem, co stanowi ich oryginalność są złe, szkodliwe, fałszywe i perfidne i jako takie powinny być bez litości tępione. Studjum estetyki definitywnie potwierdziło moje przekonania i zniechęciło do poważnej dyskusji[3]).

Po czasie muszę dodać jeszcze, że jeśli ten typ umysłowości taniego optymizmu i popularnego ględzenia, który reprezentuje w sposób klasyczny Chwistek, nie zostanie zduszony w zarodku, to naprawdę naszej kulturze umysłowej grozi zupełne zwiotczenie i przedwczesny marazm. Tu nie tylko nie trzeba wmawiać sobie i innym, że jest dobrze (co jest specjalnością polaków), ale ryczeć przez jakiś ultra-hyper-supra-doppel megafon, że każda sekunda umysłowego opuszczenia się zbliża nas do nieuniknionej katastrofy, gorszej niż trzęsienie ziemi i potop: do zgnicia żywcem we własnym, śmierdzącym sosie. Ale ryczeć o niebezpieczeństwie nie wystarczy — trzeba stwarzać środki przeciwdziałania. Straszne są dla mnie (bez cienia nawet żadnej zazdrości) te dodatnie glosy literackich krytyków o książce Chwistka — jest to groźny symptom. Uczeni, zamknięci w swej najeżonej armatami twierdzy, milczą jak zaklęci, a powinni odezwać się dawno, aby przeciwdziałać zachwytowi literatników, że filozof przemówił niczem Boy, zrozumiałym dla nich językiem pustki myślowej, napuszonego, bezpłodnego relatywizmu i pospolitości. Dosyć tego, bo niedługo będziemy stanowić bandę kretynów, a nie zbiorowisko, mające pretensję do nazwy kulturalnego społeczeństwa. Oczywiście dużą winę ponoszą nasi dowcipiarze i wesolki, ale nie całą. „Morbus gallicus", w ujemnem znaczeniu, zdaje się już powoli mijać, ale pozytywnych wysiłków brak jeszcze okropnie.

Skończone 4 II. 1933 r. z wyjątkiem paru dodatków.

S. J. Witkiewicz.

---

[1]) Nazwiska ludzi znanych są własnością publiczną. Chyba nie weźmie mi za złe Leon Chwistek, że w stosunku do niego nie krępuję się tak samo, jak w stosunku do Rudolfa Carnapa, czy jakiego innego znanego fizyka.

[2]) Z którą rozprawiłem się w moich „Szkicach estetycznych", na co Chwistek nie reagował zupełnie (chyba nieartykułowanym pomrukiem).

[3]) Po napisaniu tej rzeczy wpadła mi w ręce krytyka „Wielości Rzeczywistości" Romana Ingardena. (Odpowiedź na nią Chwistka znalem poprzednio). Zawiła jest ta sprawa z niedokładnie podaną przez Ingardena cytatą, która, o ile wiem, zdaje się nie została wyjaśniona. Ale mimo to, istotny atak pozostaje w mocy i jest, według mnie, zupełnie słuszny. Ataku tego Chwistek w brutalnej odpowiedzi swej rzeczowo nie odparł. Znajduję wiele wspólnego między tą krytyką, a mojemi zarzutami. (Obie prace znajdują się w „Przeglądzie filozoficznym").

Nauka i sztuka zagranicą

Dzieje teatru na przestrzeni wieków — oto temat dużego dzieła (800 stron), które ukazało się w Wiedniu (Phaidon) pt. „Weltgeschichte des Theaters". Autorem jej jest austrjacki badacz kultury Józef Gregor. Książka jest szczególniej cenna dla badaczy dziejów teatru, ponieważ nietylko obrazuje jego rozwój i przemiany w Europie, ale sięga także do historji teatru na Dalekim Wschodzie. Prócz rozwoju sztuki teatralnej, praca prof. Gregora daje obszerny przegląd rozwoju gry aktorskiej, inscenizacji i dekoracyj.

Monografja Garibaldiego, pióra Pawła Frischbauera ukazała się we Wiedniu nakładem Zsolnaya. Autor wydał niedawno — tłumaczoną na kilka języków — książkę pt. „Prinz Eugen, ein Mensch und hundert Jahre Geschichte".

Wydano młodzieńcze utwory Hofmannsthala pt. „Nachlese der Gedichte" (Fischer — Berlin). Słowem wstępnem opatrzył wydawnictwo Max Kommerell.

Obszerną encyklopedję Kościoła wydano w Paryżu (Bloud et Gay) pod kierownictwem ks. G. Jacquement. Szereg wybitnych historyków, teologów i znawców prawa kościelnego na 1168 stronach ścisłego druku zobrazowało dzieje Kościoła, jego organizację, rozwój historyczny, stosunki Watykanu z mocarstwami świata. Encyklopedja ma tytuł „Tu es Petrus. Encyklopédie populaire sur le Papauté".

André Maurois pisze dla Wydawnictwa Monografij Świata (Fayard — Paryż) historję Anglji.

Husserl w świetle współczesnej krytyki: „Die phänomenologische Philosophie Edm. H. in der gegenwärtigen Kritik". Jest to tytuł pracy wydanej przez Kant-Studien (Pan-Verl. Berlin), a opracowanej przez Eugenjusza Finka. Przedmowę do tej książki napisał sam Husserl, konstatując w niej, że gros dotychczasowych krytyk jego fenomenologji zupełnie błednie interpretowało jego filozofję, ta zaś praca wykazuje najpierw błędy interpretacyjne, następnie zaś poddaje „prawdziwą" fenomenologję krytyce. Husserl stwiedza, że studjum to przejrzał skrupulatnie i że jest ono, jako wykład jego teorji — bez zarzutu.

List otwarty do P. Hulki Laskowskiego

z powodu artykułu: „Goethe a religja“ *)

Zamieszczamy poniżej „list otwarty“ pod adresem p. Hulki-Laskowskiego, nadesłany nam przez p. Władysława Adolpha. Jakkolwiek nie ze wszystkiemi poglądami Szan. Autora solidaryzujemy się całkowicie, uważamy jednakowoż tego rodzaju stanowcze wystąpienia w obronie wartości duchowych, atakowanych nazbyt nieraz cynicznie, za potrzebne i pożyteczne.

Redakcja.

Szanowny Panie!

Artykuł „Goethe a religja“ traktuje Pan jako artykuł dyskusyjny, sądząc, że poruszony temat da się załatwić, a przynajmniej wyjaśnić w trybie dziennikarskim.

Czy temat „Goethe a religja“ nadaje się do pisma codziennego? Sądziłbym, że nie, aby bowiem sprawę tę potraktować gruntownie — a inaczej nie powinna być traktowana — trzebaby wyświetlić ogólny światopogląd Goethego jako myśliciela, i w ramach tego światopoglądu wyjaśnić stosunek jego do religji i świata antycznego. Przekraczałoby to granice i zadania artykułu dziennikarskiego. Po wtóre — samo zagadnienie, wymaga od czytelnika głębszego zastanowienia się i przemyślenia. A któż dziś zastanawia się nad artykułem dziennikarskim? Skoro jednak okoliczności te Pana nie odstręczyły, wyznać trzeba, że uczynił to Pan w formie odpowiedniej. Wypowiedziane przez Pana myśli i poglądy nie przekraczają poziomu przeciętnego czytelnika gazet. Opiera się Pan na autorytetach o pewnem określonem nastawieniu, dla których na skutek samego nastawienia zrozumienie istoty światopoglądu Goethego i religji jest niedostępne. Dla Pana miarodajnymi są ludzie, (Moebius. Steckel) którzy twierdzą, że Goethe był „typowym neurotykiem“. Czego to dowodzi? Czy fakt ten, jeżeli miał nawet istotnie miejsce, przyczynia się choćby w najmniejszej mierze do zrozumienia genjuszu Goethego? Czy nie jest to raczej wynikiem pragnienia, być może podświadomego, odbronzowania Goethego, ściągnięcia go na poziom jego „autorytatywnych znawców“? Ten, dla którego Goethe był „typowym neurotykiem“, z jego dzieł wyniesie nie wiele więcej, niż człowiek niepiśmienny z bibljoteki publicznej. To jasne. Toteż nic dziwnego, że w prologu do Fausta dojrzał Pan naśmiewanie się Goethego z pojęcia Boga! A cała wspaniałość sceny, gdy trzej archaniołowie w potężnych słowach wielbią wielkość Boga, — pozostała dla Pana ukryta! I u takiego Goethego dostrzegł Pan tylko panteizm, dodając, że „panteizm Goethego, jako koncepcja ludzka, przyszedł, i poszedł, jak wszystko ludzkie“! Powtarza Pan tutaj bezkrytycznie zdania pisarzy o zabarwieniu katolickiem, którzy mierzyli Goethego miarą dogmatu katolickiego. Co do przejściowości rzeczy ludzkich, to istotnie, one przemijają, oprócz głupoty i rzeczy genjalnych. Te są nieprzemijające.

Pisze Pan „religja antyczna jest systemem fikcji dlatego, że nie istniał nigdy żaden Zeus, nie było Demetry, Prozerpiny i Hadesu“. Dobrze. Ale dlaczego istnienie Boga chrześcijańskiego ma być większą rzeczywistością, niż tamtych bogów? Przecież i jedno i drugie opiera się na wierze, i jedno i drugie jest treścią odpowiednich religij. Pozostając w sferze wierzeń religijnych, odpowiedzi nie znajdziemy. Do zagadnienia tego można podejść od strony poznania, nie tego, którego reprezentantami są Shaw, Russel, Loisy i inne, wymieniane przez Pana powagi, lecz tego poznania, dla którego zjawiska duchowe są samoistnemi realnościami.

Twierdzi Pan, za swymi mistrzami, że „pojęcia religijne są tylko projekcją idealną człowieka, czyli antropomorfizmem“, że w religji człowiek przenosi swe ludzkie cechy na bóstwo, w które wierzy. Jest to niewątpliwie skonstatowaniem pewnego faktu, lecz nie objaśnieniem. Gdyby tak było istotnie, musiałoby najpierw powstać poznanie człowieka, a potem stworzenie religij i bóstw, przybranych w ludzkie cechy, czyli — psychologja musiałaby poprzedzić mitologję. Tymczasem rzecz się działa wprost odwrotnie. U bohaterów Homera myśl nie powstaje w człowieku, jako jego własne dzieło, lecz jako twór któregokolwiek członka Olimpu. Świadczą już o tem pierwsze wiersze Iljady i Odyssei. Nie było to tylko formą poetycką, u greka bowiem forma i treść stanowiły jedność. Dlaczego grek uczucia swe przedstawia w postaci złych, lub dobrych bogów, np. wyrzuty sumienia — w postaci Erynij? Jaką rolę odgrywał i na co był tu potrzebny antropomorfizm? Dlaczego człowiek w zaraniu swego rozwoju zwracał swój zwrok ku niebu i tam szukał rozwiązania spraw czysto ziemskich, (astrologja) a nie na ziemi, która przecież najwięcej winna była go obchodzić? I dlaczego ten zwrot ku ziemi nastąpił dopiero w ostatnich stuleciach?

Te i tym podobne zagadnienia nie dadzą się wyczerpać w zdaniu, że wszystko to było fikcją i antropomorfizmem. Istota rzeczy polega bowiem na tem, że dla antycznego greka te same siły rządziły w jego wnętrzu, w jego uczuciach, namiętnościach i popędach, co i w całej pozostałej przyrodzie. Siły te były dla niego bóstwami. Człowiek współczesny ujmuje przejawy swej duszy, jako wyniki procesów cielesnych, i dlatego nie może zrozumieć światopoglądu antycznego. Lecz i jedno i drugie są przemijającemi stadjami ewolucji duszy ludzkiej. O tej ewolucji nauka nie mówi nic. Jak przeminęła kultura antyczna, oparta na nastawieniu duszy greckiej, tak przeminie i współczesna kultura, oparta na materjalistycznym stosunku do świata, i nastanie nowa kultura, gdy nastawienie duszy przejdzie w następne stadjum rozwojowe. Zwiastunem tej ewolucji był Goethe jako myśliciel i badacz przyrody, który w swych dziełach przyrodniczych i swej twórczości poetyckiej, urzeczywistnił postulat prawdziwej nauki przyszłości, polegający na tem, że każdy rodzaj zjawisk wymaga właściwej sobie metody poznania i że zjawiska duchowe nie mogą być mierzone miarą przykładaną do rzeczy, dających nam znać o sobie przez nasze zmysły fizyczne. Sformułowanie teoretyczne tej metody można znaleźć w przedmowach do przyrodniczych dzieł Goethego w wydaniu Kürschners-Nationalliteratur opracowanem przez R. Steinera i w dziele tego ostatniego p. t. „Grundlinien einer Erkenntnistheorie der Goeth'schen Weltanschauung“.

Możnaby tak przejść od początku do końca Pana artykuł. Przekroczyłoby to granice i zadania mego zamierzenia. Pragnąłem tutaj podnieść jedynie punkty zasadnicze, aby wykazać, że pewność, z jaką Pan wygłasza swe sądy, jest pewnością człowieka, dla którego realnem jest tylko to, co podpada pod zmysły i znajdującego się na ich usługach rozsądku, czyli — jest pewnością człowieka naiwnego. Z nastawieniem materjalistyczno - racjonalistycznem nie można dojść do zrozumienia ani religji wogóle, ani świata antycznego, ani światopoglądu i dzieł Goethego. Nastawienie takie upodobnia człowieka, jako istotę poznającą, do owego stworzenia z bajki Kryłowa, które skutkiem swej konstrukcji cielesnej widziało żołędzie, lecz że je wydaje dąb, którego korzenie podgryzało, tego już dojrzeć nie mogło. Człowiek jednak może się podnieść ponad to. Nie inny, lecz ten właśnie stosunek człowieka do świata miał na widoku Goethe, gdy w usta Fausta włożył słowa:

„Jak to w głupocie oczywistej
z nadzieją kopie wszędzie, grzebie,
jeśli miast skarbów znajdzie glisty,
to już jest w siódmem niebie“.

(„Faust“ w przekł. Zegadłowicza).

Czy warto jednak częstować czytelnika glistami, i czy nie lepiej w cichości ducha spożyć je samemu?

Władysław Adolph.

*) (Gazeta Polska Nr. 359 z dn. 31. XII. 1933 r.).

Książki i czasopisma

Polonista (wrzesień — grudzień) J. Dańcewiczowa: Program języka polskiego w szkole powszechnej; J Rytlowa: Lektura w nowych programach szkoły powszechnej: Z. Klemensiewicz: Gramatyka polska w nowym programie nauki: St. Seweryn: Kilka uwag o korelacji języka polskiego z innemi przedmiotami w nowych programach: Jul. Saloni i Wład. Szyszkowski: Jak rozpoczęliśmy pracę w kl. I nowego gimnazjum?; Jul. Krzyżanowski: Na szlakach rozwoju kultury polskiej. Recenzje i sprawozdania.

Przegląd Filozoficzny (zeszyt IV rocznik 36) R. Winnicka: Zagadnienie uwielokrotnienia osobowości wobec dzieł sztuki; R. Ingarden: Zagadnienie tożsamości dzieła muzycznego; H. Elzenberg: O różnicy między „pięknem“ a „dobrem“: M. Wallis-Walfisz: U podstaw estetyki. Sprawozdania: R. Ingarden „Das literarische Kunstwerk“ (T. J. Kroński); J. Wł. Dawid: „Psychologja religji“ (A. Chojecki); dr. Stan. Gościcki: Zagadnienia metafizyki (B. Sobociński); E. Duprél: „Traité de morale“ (M. Ossowska): M. Schlick: Fragen der Ethik (M. Ossowska); L. Vialle: „Le desir du néant“ (H. Elzenberg).

Lewar Nr. 1/4 (Henryk Horb: Siedm punktów wstecz; E. Brecher: Podkarpacie: Ankieta) St. Baczyński, Henri Barbusse, Stef. Boguszewski, Herm. Charap, M. Czuchnowski, K. Irzykowski, R. Lem, F. C. Weisskopf, M. Jehanne Wielopolska); Wiersze L. Pasternaka, J. Wyki, Z. Wiśniewskiej, A. Kasprowicza, A. Ziemi, K. Huhna (przeł. St. Wygodzki).

Głos (dwutyg. radykalno - nar. Nr. 2, r. IV). Stan. Czapiewski: Jesteśmy obozem walki: Bar: Personalizm i uniwersalizm; prof. dr. L. Jaxa Bykowski: Dobór szkolny w chwili obecnej; prof. dr. K. Stojanowski: O postawę wobec rasizmu: K. Torski: Polskie elity rządzące; Mgr. V. B.: Stawiają na komunizm i... katolicyzm; M. Łebkowski: O zwrot do polskiej pieśni.

Kamena (nr. 6) Zenon Waśniewski: Kroki wśród nocy; Poezje: Grzegorz Timofiejew — Kochankowie, Kaz. A. Jaworski — Załodze „Syrjusza“, J. Łobodowski — Don Kichot, Stan. Czernik — Rozjaśnienie, Zenon Waśniewski — Zawsze, Teodor Bujnicki — Trumny, Jerzy Putrament — Poezje, Józef Madaliński — Przebłysk, Wiktor Kasperski — Pojednanie; Mar. Czuchnowski — Uspołecznione eksperymenty; Poezja czeska: Antoni Madej — Vilem Zavada; Ludomir Rubach: Vitieslav Nezval; Vilem Zawada — Los; Jar. Bednarz — Haszysz; Vitieslav Nezval — Edison II (fragment); Poezja rosyjska: S. Jesienin — Ruś sowiecka: Poezja francuska: J. M. Heredia — Bakchanalja; Ch. Baudelaire — Grób przeklętego poety.

Bunt Młodych (r. V, nr. 2) Miecz. Pruszyński: To czem się my brzydzimy; Stan. Łoś: Kontynentalna polityka Wielkiej Brytanji; I. Reisler: Narazie, tylko tyle...; Piotr Dunin-Borkowski: Egalitaryzm a elita moralno - intelektualna; Ks. Pruszyński: Nieprawda Cezarego Baryki i prawda M. Choromańskiego; Stan. Zejmis: „Na zasadnicze tematy“; Fr. Czerwiński: Przegląd prasy: Ex Oriente lux. Reportaż imaginacyjny.

Kafkasya Daglilari (r. 1933, nr. 46) Sovyet harici siyasetinin 1933 deki yekunlari: Canbek Havjoko: David Urkhart: Ahmet Tsalikkati: Yilanin fikri.

Stanisław Szanter: Odrodzenie cywilizacji. Szkice o nowym ustroju świata. Część I. Likwidacja miast. Wilno 1934. Nakład. przyjaciół autora. Str. 26.

M. Ostrowerha: Mussolini. Liudyna i czyn. Lwów 1934. Knig. „Wistnika“, str. 85.

Eugenjusz Żytomirski: Bez w samolocie Poezje. Bibljoteka „Kadry“, tom III. Warszawa 1934. Literacki Instytut Wydawniczy. Str. 62.

Jalu Kurek: Mohigangas. Poezje. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1934. Str. 34.

Kott, Matuszewski, Pietrzak: S. Poezje. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1934. Str. 66.

Mieczysław Lisiewicz: Coronel. Poezje. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1934. Str. 28.

Tadeusz Hiż: Hejnał. Poezje. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1934. Str. 48.

Stanisław Car: Na drodze ku nowej konstytucji. Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1934. Str. 203.

Wśród nowych książek

Wśród nowych francuskich wydawnictw beletrystycznych znajdujemy powieści: Andrzeja Maurois p. t. „L'Instinct du bonheur“, Henryka de Montherlant „Les Célibataires“, Jana Giraudoux „Individu“ i J. Chardonne „Les destinées sentimentales“.

Franciszek Maurice wydał (u Grasseta w Paryżu) książkę p. t. „Journal“. Jest to zbiór szkiców na temat szeregu współczesnych zagadnień.

Indjanie i zamierzchła kultura Ameryki. rasy zamieszkujące ten wielki ląd, ich rozwój i zmierzch, pozostawione zabytki — oto temat obszernej, bogato reprodukcjami ilustrowanej książki R. N. Wegnera, noszącej tytuł „Indianer-Rassen und vergangene Kulturen“. (F. Enke — Stuttgart).

Bracia Tharaud wydali nową książkę. Bohaterem jej jest zabójca Henryka IV, François Ravaillac, fanatyk religijny, który wykonał swój zamach, jako akt samosądu nad królem za jego politykę antypapieską.

Ciekawą książkę o Napoleonie wydał (Ficker — Paryż) Albert Meynier. Książka, zatytułowana „Pour et contre Napoléon. Le procès historique de l'Empereur“ — jest szkicem ujętym w formę rozprawy sądowej, gdzie Napoleon jest oskarżony i broniony równocześnie. Praca ta była drukowana pierwotnie w Revue des Études Napoléoniennes“.

Biografję Händla opracował prof. dr. J. Müller-Blattau. W biografji tej specjalnie obszernie opracowana jest młodość sławnego muzyka, gdyż — zdaniem autora — historja młodości jest historją genjuszów. Tytuł: „Georg Friedrich Händel“ (Athenaion— Poczdam).

Studjum o filozofji mowy wydał („Philosophie der Sprache“ — Monachjum — R. Oldenburg) Lulius Stenzel. Rozważania zasadnicze poprzedza wstęp historyczny, dalej idą rozdziały o granicach mowy, o zdaniu i słowie, o zmianie znaczeń, o stylu, o mowie literackiej i mowie „codziennej“ i inne.

Polonica

Bibljoteka Kórnicka wydała „Katalog Bibljoteki Kórnickiej T. I. Polonica XVI wieku“. Zestawił ten katalog ze zbiorów kórnickich Kazimierz Piekarski. Praca wykonana została nader starannie i według wszelkich wymogów nowoczesnej nauki. Część pierwsza katalogu zawiera alfabetyczny spis 1655 druków według nazwisk autorów, lub (przy drukach anonimowych) tytułów; część druga — spis druków wedle krajów, miast i lat ukazania się; trzecia — konfrontację numerów katalogu z sygnowaniem Bibljoteki.

Przekład „Chłopów“ Reymonta na język słoweński (wyd. Maticy Slovenskiej) dokonany przez J. A. Glonara, osiągnął w krótkim czasie drugie wydanie, co jest ewenementem dla stosunków południowosłowiańskich.

Marja Kasprowiczowa wydała piątą część swego Dziennika pt. „Harenda“.

Dwie książki o Polsce ukazały się ostatnio w Londynie. Autorem jednej z nich jest V. Mason. Nosi ona tytuł: „The Land of Rainbow. Poland and her People“. Druga, pióra A. M. W. Singletona jest zatytułowana: „The Riddle of Poland“.

Rozważania na temat współczesnych zagadnień religijnych i społecznych ujęte w szereg rozdziałów poświęconych kwestjom komunizmu, wolnomyślicielstwa, kapitalizmu, stosunkowi Kościoła do socjalizmu, kryzysowi rodziny — wydał (nakł. XX. Pallotynów — Warszawa). X. Dr. T. Mącior. Książka jest przeznaczona dla szerszego ogółu czytelników.

Zbiory poetyckie wydali: Adam Znamirowski („Wir perspektyw“), poeta znany za czasów Młodej Polski z wydanych tomów pt. „Śmierć“ i „Całun“, oraz młody Krakowianin Adam Bielecki („Akwarjum ulic“). Ostatni tom jest debiutem.

Autor „Architektoniki zmysłowości i rozsądku“, oraz „Prolegomenów filozoficznych do geometrji“, Benedykt Bornstein rozpoczął wydawnictwo (skł. gł. Gebethner i Wolff) obszernej, 3-tomowej pracy p. t. „Architektonika świata“. Ukazał się obecnie tego wydawnictwa tom pierwszy p. t. „Prolegomena do architektoniki świata“.

„Najazd Awangardy“

Awangarda poetycka Lublina, Wilna i Krakowa zorganizowała wielki wieczór autorski, który odbędzie się w Warszawie, w sali T-wa Higjenicznego, na Karowej. Termin imprezy: sobota 10 marca, godz. 6 wieczorem.

Wiersze recytować będą artyści: H. Buczyńska, St. Jaracz i H. Ładosz, oraz autorzy: K. Bielski, J. Czechowicz, M. Czuchnowski, H. Domiński, K. Gałczyński, J. Kurek, J. Łobodowski, C. Miłosz, B. L. Michalski, J. Przyboś, St. Piętak, A. Ważyk i J. Zagórski.

Całkowity dochód z wieczoru przeznacza się na ufundowanie stypendjum dla niezamożnego poety. Wieczór będzie niewątpliwie największą i najciekawszą atrakcją sezonu.

Na czerwonym Olimpie

Konstanty Srokowski: Na czerwonym Olimpie. Lwów 1934. Księgarnia Polska B. Połoniecki. Str. 195.

Mała ta, ale jakże wymowna książeczka, robi wrażenie — wbrew swym intencjom — dość złowrogie. Autor, znakomity publicysta polski, mający za sobą już jedną interesującą książkę o „elicie bolszewickiej“, referuje rzecz spokojnie, z tak modnym dziś rzeczowym, trzeźwym objektywizmem, nie tając nawet wyraźnego podziwu dla zalet osobistych przedstawicieli krwawego, sowieckiego reżimu i dla gigantycznego rozmiaru dzieł, z takim żelaznym uporem przez nich dokonywanych. Określenia takie jak „genjusz“, „potężny mózg“, „tytaniczna wola“, w książeczce tej aż nazbyt często się powtarzają. Czy słusznie, w to pozwalamy sobie wątpić. Genjusz, to specyficzna właściwość ducha, potencja samorzutności twórczej, której nie należy mieszać z konsekwencją i zręcznością praktycznego działania. Także przebiegłość i brak jakichkolwiek skrupułów moralnych, nie ma nic wspólnego z potęgą rozumu, i byłbym bardzo ostrożny w przyznawaniu precyzji intelektu jednostkom w guście straszliwego szefa GPU Menżyńskiego. Upór w trzymaniu się szematów doktryny, upór choćby tak wielki, że nie cofający się przed posyłaniem na śmierć dziesiątek tysięcy ludzi, nie jest jeszcze tożsamy z mocarną wolą: tenże publicysta pisał niedawno przecież w artykule swym o wypadkach w Austrji, że strzelanie z armat i karabinów maszynowych do swoich własnych obywateli nie dowodzi ani rozumu politycznego, ani siły rządu, ani wogóle jego zdolności rządzenia, gdyż dobry rząd powinien umieć realizować swoje cele bez przelewu krwi i terroru. Także determinacja, zdolność niecofania się przed niczem, nie jest tak wysoką cnotą, gdyby bowiem nią była, to bandyci byliby najlepszym materjałem na przywódców politycznych, organizatorów państwa i wodzów, tym bowiem nie brak zarówno determinacji, jak szybkości decyzji.

Trudno przeczyć, że wodzowie Rosji sowieckiej podjęli się realizowania planów zuchwałych, rozległych i arcytrudnych. Strzec się jednak należy — w ocenie ich dzieł — przyćmienia zmysłu moralnego, które grozi nam dziś niestety bardzo poważnie. Jakże łatwo zapominamy, jakiemi środkami i metodami przeprowadza się za czerwoną granicą to „wiekopomne“, „historyczne dzieło“; zapominamy, że istnieje jednak, ponad wszystkiemi faktami dokonanemi, które nas fascynują i uwodzą, jakieś niezłomne sumienie historji, które odprawi kiedyś swój sąd ostateczny nad złem i dobrem dzieł ludzkich. Tak jakgdyby stracił już aktualność w trzeźwej i praktycznej Europie współczesnej ten nieśmiertelny werset Ewangelji „Nie może złe drzewo owoców dobrych rodzić“. Gdyby ludzkość miała dać kiedyś swoje moralne placet na system rządów, który w imię sprawiedliwości, naprawienia krzywd społecznych i wolności człowieka, podepce godność osobistą miljonów i zorganizuje na zimno masowe rzezie, jako doprowadzoną do doskonałości sztukę polityczną, — niechże tę ludzkość djabli w kawałki rozerwą razem z całym globem, bo nie warta ona świętego miana *człowieka*.

Gdy czytam w książce Srokowskiego plastyczny, doskonały literacko, opis czerwonego Kremla, ta ponura warownia, otoczona siedmiokrotnym murem kamienia, tajnego szpiegostwa, stokrotnie oglądanych przepustek, bagnetów i karabinów maszynowych, a wreszcie nawet fal prądu elektrycznego o zabójczem napięciu, staje się dla mnie symbolem samego rządzącego w tem państwie systemu. Nie rządzi się społeczeństwem z kryjówki, z obwarowanej nory drapieżcy; nie może to być dobry i szanowany rząd, skoro musi się aż tak odgradzać od swego ukochanego, wyzwolonego ze szpon ciemiężców ludu. A te podsłuchy wzajemne wśród członków rządu, i ten sympatyczny, z niemym podziwem i strachem oglądany przez towarzyszy partyjnych, Cerber czerwonego Olimpu-Hadesu, ten towarzysz Peters, który ma na sumieniu — jak stwierdza bez zbytnich objawów abominacji K. Srokowski — przeszło 100.000 rozstrzelanych, którego ulubioną metodą było wymordowywanie w każdem mieście zajętem przez władze sowieckie, całego odłamu ludności, podejrzanego o niesprzyjanie komunistom. Brrr, jak zimno! O raju, raju proletarjacki, jakież to urocze aniołki fruwają po twojem niebie!

Sylwetki gromowładców czerwonego Olimpu skreślone są przez autora pewną ręką i doskonałem piórem. Nadaje to tej niebezpiecznej książeczce (niebezpiecznej przez urok, jaki wywrzeć może na umysły, niedość jasno uświadamiające sobie różnicę pomiędzy złem a dobrem), wartość dokumentu. Widać, że autor orjentuje się doskonale w opisywanem przez siebie środowisku, że poświęcił mu długie i gruntowne studja. Zaletą jest niezwykła plastyka opisu, unaoczniająca cechy charakterystyczne tego środowiska i stawiające je przed oczyma wyobraźni żywo i przejrzyście. *j. b.*

Poezje

ŁUKASZ FLIS. *Drzwi uchylone.* Warszawa 1933. F. Hoesick. Str. 188 i 4 nl.

Ogromny tom wierszy w porównaniu do ciemutkich, kilkudziesięciostronicowych zbiorków współczesnych poetów. Książka ta różni się jednak nietylko objętością od zwykłych dzisiejszych wydawnictw poetyckich. Jest w niej jakieś odmienne podejście do tematu. Dla konsumenta współczesnej literatury wierszowanej, przyzwyczajonego do specjalnej melodji dzisiejszego wiersza, poezje Flisa budzą najrozmaitsze wątpliwości i pytania. Różnica zdaje się wynikać z tego, że Flis nie jest poetą-specjalistą. Trzeba bowiem tak sprawę postawić. Poezja dzisiejsza jest w wybitnym stopniu sprawą specjalizacji. Przez poworne działanie, zależnie od różnych okoliczności, wytwarza się typ zawodowy, — i produkty tego specjalisty, posiadające tę właściwość, że mogą interesować tylko szczupłe koło podobnych specjalistów. Flis jest natomiast typem, który trzeba zapewne nazwać poetą - amatorem. Ale jest to amator, który niejednego specjalistę, ograniczonego do ciasnego kręgu, precyzyjnie opanowanych chwytów, może zastanowić i zadziwić świeżością pomysłów (bo przyznać trzeba, że nasi specjaliści nie lubią odświeżać tematyki) a nieraz oryginalnością zestawień formalnych. Psuje wrażenie uderzeniami w przebrzmiały ton, czego poeta-specjalista już nie dopuściłby się. W okresie, gdy poezja przestaje być dostępną dla nie-specjalistów, podobne dopływy, jak książka Flisa, mogłyby pobudzić do rewizjonizmu, który nie obniżając poziomu zbliżyłby jednak poezję do czytelnika. W każdym razie książka Flisa, jako wyraz wysokiej kultury „amatorskiej“ w poezji zapewne mile zostanie przyjęta przez „specjalistów“.

JAN BRZĘKOWSKI. *W drugiej osobie.* Poezje. Bibljoteki „a. r.“ tom 4. Str. 55 i 3 nl.

Brzękowski, obok Peipera, należy do nowatorów najskrajniejszych i najbardziej w stosowaniu doktryny konsekwentnych. Stawiając koncepcję t. zw. poezji integralnej, ilustruje ją wierszami istotnie wypracowanemi według podanych przepisów do ostateczności. I tu właśnie powstają najpoważniejsze wątpliwości. Tego rodzaju wiersze wzorcowe, wymuskane w każdym szczególiku, stają się w dużym stopniu bardzo sztucznemi kompozycjami, niemal igraszkami lub rebusami. Doktryna poetycka, reprezentowana przez Brzękowskiego, przypomina niektóre doktryny socjalno-gospodarcze, obliczone na idealnego człowieka, — w naszym wypadku na idealnego poetę. Na wszystko możnaby się zgodzić, wszystkiemu przyznać teoretycznie rację, rzeczywistość jednak — w postaci braku idealnych poetów — sprzeciwi się nam dobitnie i wykaże, że nasze obliczenia, pozornie ścisłe, pozostają fantastyką. Niemniej jednak „falanster“ Brzękowskiego nie pozostaje bez znaczenia, jako pouczający eksperyment. Może te doświadczenia są potrzebne, jako wyraz przeciwnej tezy w stosunku do zakorzenionych u nas przesądów w poezji. Wiersze Brzękowskiego, mimo sztucznych zaciemnień, nie są również pozbawione swoistej treści, która przedstawia nam żywotnego, niespokojnego i niesharmonizowanego człowieka. Dziwnie na tle tych wymyślnych wierszy wygląda podkreślana proletarjackość poety, do której trudno się przekonać, jak do komunizmu właściciela baru lub pacyfizmu fabrykanta materjałów wojennych. Zdradza to rozszczepione słownictwo i treść metafor mało z rewolucyjnem „pronunciamento“ poety związana, nprz. rewolucja i prawo czerwonego człowieka, a obok — sos krwi i dni czerwone — jak comber. Może ta proletarjacka poza Brzękowskiego jest rodzajem samobiczowania.

St. Czernik.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87.